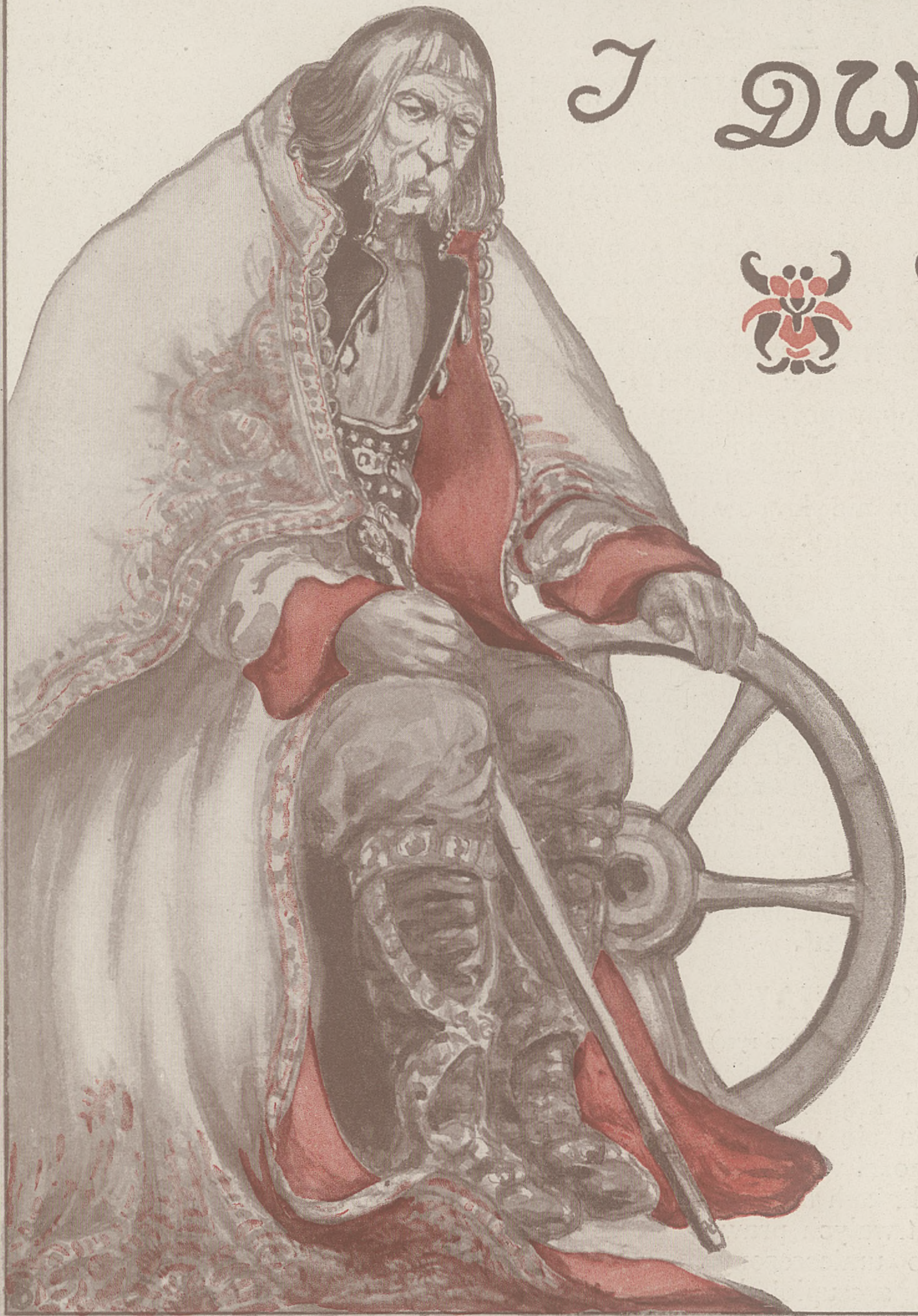
WIEŚ I DWÓR



ZESZYT GWIAZDKOWY. GRUDZIEŃ 1912. CENA 75 KOP.

ROK I. WARSZAWA, DNIA 15 GRUDNIA 1912 ROKU. ZESZYT V i VI.

Wieś i Dwór

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY.

(Zeszyt Gwiazdkowy).



Z Zamoyskich ks. Adamowa Lubomirska, zasłużona rzeczniczka turystyki krajowej.



El.

W wigilijną ciszę.

...W wigilijną ciszę
Do Ciebie w grobie, Matko! myśli smutne piszę,
Bo nie mam kogo spytać, prócz Ciebie i Boga...
Mamo! Mamo! jak twarda wypadła nam droga!
Co marzone—za chmurą, co kochane—cmentarz...
Matuchno moja złota! czy Ty tam pamiętasz
Tę naszą wigilję?... I wtedy źle było,
Ale się jeszcze w duszy coś śniło, marzyło...
Pamiętasz jakieś, Matuś, mówiła nam dzieciom
W tę noc grudniową śnieżną, szumiącą zamiecią,
Wiatr wył, po niebie łuny chodziły w szkarłacie:
— Ja nie doczekam, lecz wy, dzieci, doczekacie!
A powiadałaś z wiarą — i myśmy wierzyli...
Mamo, Mamo! jak strasznie czekałem tej chwili,
Jak strasznie... dni, miesiące, lata, lat dziesiątki!
Z nią witałem kłos w żniwa, z nią wiośniane prątki,
Snuła mi się jesienią, jak mgła miedzą płową,
W zmierzch zimowy z księżycem wschodziła nad głową

I świeciła nademną... o szarej godzinie,
Podobna poświęconej z Chrystusem patynie,
Którą kapłan podnosi, a lud pada pyłem —
I wierzy... I ja, Mamo, czekałem, wierzyłem...
Bóg nie dał...
I wiesz, Matuś, co w duszy zaległo ołowiem?
Tyś mi jeszcze mówiła... Co ja dzieciom powiem?
Czy ja im mówić mogę? co i o czem gadać?
Matuś, ja ci z wszystkiego będę się spowiadać,
O wszystko pytać będę... bo któż mi odpowie?
Matuś święta! Tyś teraz bliższa Chrystusowi —
Spytaj Go, chociaż bluźne będzie to pytanie:
Czy On tę naszą ziemię objął w ukochanie?
Czy... bo czasem, wiesz Mamo? — huczy w my-
[ślach zgrzytem —
Czy To Bóg-Dziecię było? żyło? czy też mytem?
Czy my?... Matko! Klnę Ci się i duszą i ciałem!
Kazał wierzyć — wierzyłem, ukochać — kochałem!
Kazał żyć, chodzić ziemią i ufać w pacierze...
Chodziłem...
A naokół były tylko krzyże!
Chodziłem... nie sam jeden... chodziły tysiące,
Jak ja, z kochaniem w duszy, i jak ja wierzące,
I tylko krzyże... krzyże... mogiły... kurhany...
Noce w bezsennej trosce i świt opłakany!
Mamo, czemu tak twardą nam znaczono drogę,
Że nawet Twych słów dzieciom powtórzyć nie mogę!
Że oto dziś, gdy błysła Betleemska gwiazda,
Nie wiem już, co mam życzyć drogim mego gniazda?
O, Matko, jeśli głos mój do Ciebie doleci,
Spytaj Chrystusa! Spytaj Go... o nasze dzieci!



Kościół w Karnkowie w Płockiem (fot. am. p. Karnkowskiej).

O tem, co jest i co może być.

Wojna bałkańska, narzucenie Warszawie przez żydów posła socjalisty, wywłaszczenia pruskie w Wielkopolsce. Trzy pozycje nierównej i różnorodnej wartości, trzy punkty, na których w tej chwili zogniskowała się natężona uwaga narodu polskiego. Rzec można z całą szłusznością, iż narodu, nie tegoż odłamu jakowegoś.

Na jeden rok tych trzech pozycji, tych trzech punktów, aż nadto. Dostarczają one pod każdym względem materjału do głębszej refleksji ludziom, różniącym się i wiarą, i przekonaniami, i stanem, i stopniem ukształcenia.

I zaraz na wstępie rodzi się pytanie: czyż nas bliżej może obchodzić wojna, tam gdzieś daleko za górami, za lasami i morzami grzmiąca? I znowu: czyż jest jaki związek między tem, co się tam na Bałkanach dzieje, z losami narodu polskiego?

Pokazanie nam przez litwaków pięści żydowskiej, a przez hakatystów pięści krzyżackiej — to co innego, ale owa wojna? Ciekawa ona, tak, ale miejscowa, a nadewszystko daleka.

Co nas ta bałkańska burza naprawdę obchodzi?..

A jednak ta wojna, nie za nas, nie dla nas, i nie o nas, ta daleka, bałkańska, nie może być, i nie jest nam obojętna.

Najpierw łączy nas z nią wiekowej tradycji przędza mocna. Ludy chrześcijańskie z wiary, słowiańskie z rasy przeważnie, dobijają ongi śmiertelnego wroga naszego. Warna, Chocim, Wiedeń, trzy znamienite nazwy, trzy wielkie tytuły trzech epokowych poematów, nie piórem, lecz krwią serdeczną rycerstwa polskiego napisanych. One właśnie teraz zespalają świetną przeszłość naszą ze świetną teraźniejszością Bułgarów, Serbów i Greków. One czynią, iż nie możemy być odcięci od procesu dziejowego, który nosi nazwę walki odwiecznej Krzyża z Półksiężycem. Właśnie Kirk-Kilise, Kumanowo i Lule-Burgas przypominają światu Warnę, dwukrotnie Chocim i Wiedeń. Przypominają nas przygniecionych i trzykrotnie przełamanych — przypominają światu całemu.

I kto wie, czy już teraz byłyby możliwe wielkie zwycięztwa bałkańskich małych narodów, gdyby nie wiktorje Sobieskiego pod Chocimem i Wiedniem?!

Wielkie epizody dziejów — to ogniwa trwałe, wiążące zespoły ludzkie na tłach jednolitego czasu.

O tem pamiętać należy teraz i zawsze.

Zadaliśmy w przeszłości śmiertelny cios Turcji i opadliśmy z sił. Wykreślono nas z mapy Europy, pomimo naszej chwały, tak, jak z tej-że mapy wkrótce wykreślać będą Turcję. Jedna dola niegdyś zwyciężającego z obecnie zwyciężanym... I to jest jedyna nić sympatji, z przędziwa analogicznych losów wysnutej, jaka nas, Polaków, wiąże z upadającą Turcją.

To nić jedna, jak powiedziano, natomiast cały ich pęk wiąże nas z tymi, co dzieło nasze w wiekach ubiegłych poczęte, kończą.

Słowianin zwycięża! Ot, co jest ważne. Zwycięża Słowianin, poczytywany za kulturalnego niewolnika innych. Zwycięża ten, co był gniecion, łaman i gnębion przez pół tysiąca lat.

Stał się cud, prawdziwy cud! Może dlatego, żeby kupczący świat przekonał się, że nie wszystko kupić i sprzedać i nie wszystko też obliczyć można. Omylili się wielcy, którzy sądzili, iż oni rozwiążą zadzierżgnięty przed wiekami węzeł na Orjencie, iż go oni, gdy pora nadejdzie, rozetną.

Omylili się. Rozwiązują, nie: rozcinają ten węzeł ci, co ze względu na liczbę, za nic byli poczytywani.

Urasta tam teraz na Bałkanach, ku zdumieniu świata, nowa wielka potencja, a urasta zgodą tych, którzy, wedle do niedawna kategorycznych twierdzeń mędrków, na wieczną waśń, może wieczną niemoc byli skazani.

Patrzymy zdumieni i widzimy: co może zgoda?! Może niemal wszystko.

Stąd dla nas przedewszystkiem nauka, dla nas, Polaków, najpierw, a potem dla nas, Słowian.

I oto my, Polacy, zgódźmy się najpierw między sobą, by przestano mówić, jako o tych, wśród których — ile głów, tyle zdań. Uczmy się: Bułgarzy dlatego zwyciężają, iż w głowach ich jedna



W zimowy ranek. Fragment z Białejrusi (fot. am. p. Domańskiej).

wielka zrodziła się myśl, a w sercach jeden płonie ogień — przeogromnej miłości ojczyzny. Toż wśród pokrewnych im Serbów obu królestw i obcych Greków.

Trzeba było widać długiego, długiego pasma cierpień, by się ta jedność wyłonić mogła!

Ta wojna budzi myśl, płodniejszą w epokowe skutki nad wszelkie inne myśli: łączmy się, łączmy się wszyscy, jak już się połączyli Serbowie z Bułgarami. Toć jeszcze do niedawna były te dwa pobratymcze narody, gdyby dwa śmiertelne wrogi, zmierzające do wytępienia się wzajemnego.

A teraz? Idą razem. Ach, jakie to piękne: razem — przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi, dla osiągnięcia wspólnych celów, dla urzeczywistnienia wspólnych marzeń.

Toć przecież ten wielki ogół Słowiański ma stokroć od Turka większego wroga... Wroga, który czyha zarówno na bliższych, jak na dalszych członków wielkiej rodziny słowiańskiej... Znamy go wszyscy!

A czyż nie pora, byśmy się nie zwalczać, lecz godzić już raz przecież zaczęli?! Kto wie, co nam blizka, może najbliższa przyszłość gotuje? Niemiec nie śpi, lecz czai się. On wie, że taki wielki Związek Słowiański, w którym nareszcie brat poda szczerze rękę bratu, przez sam fakt swego istnienia, dla niego będzie i musi być klęską. I dlatego wszystko czyni, by do tego nie dopuścić...

Toć to jasne, jak słońce...

I jeszcze jedno budzi w nas owa wojna bałkańska. Co?.. Nadzieję, że jeżeli nie my, to te przyszłe pokolenia z nas wyrosłe doczekają się końca swych klęsk i cierpień, a początku swej narodowej szczęśliwości.

Obronili-ć się Czesi, w wiele gorszych od nas warunkach przez 200 lat pozostający, zwyciężająż Bułgarzy wraz z Serbami odwiecznych tyranów swoich, obcych im wiarą, językiem i obyczajem.

Przecież my nad tymi naszymi dzielnymi pobratymcami górujemy i liczbą, i kulturą, i majątkiem. Jest nas z górą 20 milionów, dość na to, by być narodem wielkim!

Wielki naród w prostracji, w niemocy... Oto tragedja!

I trzeba ogromnych klęsk, byśmy się zerwali

do pracy nad sobą, do jednoczenia się z sobą, do zaspakajania przez nas samych potrzeb naszych, do potęgowania własnej kultury i wyzbywania się ekonomicznej zależności od tych, co na zgubę naszą czyhają.

Te wielkie klęski obecne, co po epokowych dawniejszych nastąpiły—to: urągające wszelkiej sprawiedliwości, a mimo to „legalne", stosowanie drakońskiego prawa, wydzierającego nam w wielkopolskiej dzielnicy ziemię; to: nacisk ekonomiczny żydów, chcących kraj nasz uczynić dla siebie ekwiwalentem Palestyny.

I cóż? W Prusaku współczesnym i w sprusaczonym Niemcu odżył Krzyżak drapieżny. Wywłaszcza nas, by nas pozbawionych gruntu własnego pod stopami, rozproszyć, a rozproszonych, pochłonąć.

Prusak wie: że dotąd jesteśmy narodem, dopókąd mamy ziemię. Bez ziemi możemy być tylko rozpylonym materjałem etnicznym, taką oto mierzwą etniczną dla Niemców. Taką mierzwą stali się przed wiekami mnogie szczepy nam pokrewne, po których nic, prócz wspomnienia historycznego, legendy heroicznej nie zostało.

Ale by z nami nie było tego, co było ongi z onymi Lutykami, Wilkami, Obodrytami, Pomorzanami, musimy się bronić. Musimy walczyć na tych polach, na których nas do zmagania się wrogi wyzwały. Musimy się jednoczyć tak, by jeden gotów był stanąć za wszystkich, a wszyscy za jednego.

I ci bracia nasi z pod zaboru pruskiego walczą! A jak owocnie i z jakim skutkiem, świadczy ich dobrobyt, pożądliwość zazdrosną Prusaków wzbudzający.

Typ twardego Polaka wyrobił się pod twardem panowaniem współczesnego Krzyżactwa. Kiedy u nas i w Galicji więcej do tej pory mówią, aniżeli robią—w zaborze pruskim jest wręcz odwrotnie. Tam wiece nie gwoli ulżenia sobie urządzają, lecz, by wytknąć wspólnie wspólną linję obrony.

Taki naprzykład, z okazji zastosowanego w czterech wypadkach wywłaszczania, wiec w Inowrocławiu—toć to jedna manifestacja siły opornej i wiary niezłomnej. Tam, w tym Inowrocławiu, grodzie piastowskie czasy pamiętającym, stwierdzono fakt nieprzepartej woli utrzymania się na ziemi ojców całego odłamu wielkiego nieszczęściem i chwałą narodu polskiego. I jest nadzieja, że Poznańczycy wytrwają w walce. Jest też nadzieja inna, że umiejąc już walczyć i umiejąc czekać, zwalczą wysiłki wrogie i doczekają się czasów lepszych.

Doczekali się przecież czasów dla siebie lepszych, nawet szczęśliwszych, mali liczbą, wielcy duchem Serbowie, a zwłaszcza Bułgarzy. Ciągną na Carogród!..

Ach, każdy naród ma swój Carogród!

A u nas, jakże jest i jak ma być, czyli musi być?

Jest tak, iż obcy ze Wschodu przybysze, żywioł zachłanny i pasożytniczy, skutkiem nieoględności naszej wzrósłszy i wzmógłszy się, wypowiedział nam wojnę. To żydzi.

Pokazali nareszcie: czem są!

Narzucili stolicy naszej posła, który z ich woli i poręki ma ją reprezentować w Dumie Państwowej. Tym sposobem poniekąd, widocznym i zrozumiałym dla wszystkich, pokazali nam: jak mało u siebie znaczymy, zaprzeczyli nam bowiem prawa do roli gospodarzy, jeżeli nie w kraju, to w jego sercu.

Jakiż był skutek tej żydowskiej bezczelności? Dobry... Ocknęliśmy się z apatji i gnuśności i zareagowaliśmy ostro, a nie tylko słowem oburzenia, ale i czynem. Nazywa się ten czyn popularnie bojkotem handlu żydowskiego, jest jednak naprawdę czem innem: albowiem spotęgowaną dążnością do działania owocnego, do rozwoju ekonomicznego. Bojkot przeminie, jak przemija gniew, którego był zbiorowym wyrazem. W życiu realnem niema miejsca na ciągłe gniewy i dąsy, jeno na celowe czyny, potęgujące zbiorową siłę narodu.

Mówi się o tem, że ten bojkot, samodzielnie powstały, będzie takim oto słomianym ogniem. Więc, że zgaśnie. Może. Ale pozostanie energja i silna wola.

Bo mimowoli narzuca się samo przez się pytanie: dlaczego kupiec polski ma być gorszym od żydowskiego? Gorszym, czyli mniej sprawnym? Zdolności mu brak? Nie. Toć są dzielni kupcy polscy.

Jest ich dużo w zaborze pruskim. Tam bez namiętnego antysemityzmu, prawie że znikli z miast żydzi. A przecież byli. Nie żyd nam winien być straszny, nawet taki litwak, taki nacjonalista, co z drwiącą miną wprowadził do Dumy, odepchniętego przez wszystkie stany narodu, polaka, straszne — ci są jeno nasze lenistwo i nasza nieopatrzność.

Ale te grzechy nasze śmiertelne odchodzą. I chwała Bogu, że odchodzą, że się rozwiewają. Czas wielki, zwłaszcza teraz, gdy się niemal wszystko przeciwko nam sprzysięgło.

Wrogie nam czyny — pruski i żydowski, nie ku osłabieniu naszemu posłużyły, lecz ku wzmocnieniu. Poczuliśmy się znowu w jedności. Rozejrzeliśmy się naokół. I cóż? Na widok tylu braków, tylu niedomagań, smutno się czyni Polakowi. A jed-

nak — braków liczba się zmniejsza, i to prędko. Rośnie mieszczaństwo, a zwłaszcza krzepnie. Potęguje się solidarność na polu ekonomicznym, wyraz swój realny znajdująca w licznych swojskich i typu swojskiego kooperatywach. Tego dawniej nie było, a teraz jest—i już będzie! Tak, będzie, da Bóg!

Mieszczaństwo własne, silne mieć będziemy. A mamy wieś. Ta jest niepodzielnie naszą, nawet tam, w zaborze pruskim, gdzie ją Krzyżak współczesny zniszczyć usiłuje, gdzie w tej niegodziwej robocie pomaga mu cała machina rządowa. Wieś zdrowa i dwór ze złudzeń wyleczony...

Ile ziemi, tyle narodu! Tak pięknie zaznaczyła jedną z włościanek na którymś z poznańskich wieców, odbywanych dla oprotestowania wywłaszczezeń. Mocne i wielkie słowa.

Póki wsi polskiej i dworu polskiego stanie, póty nas, Polaków, stanie!

Wieś i dwór polski—to dwie ostoje naszego narodowego bytu. One gdy krzepną, a istotnie krzepną, naród na wieczność, ludzkiemu rozumieniu dostępną, przedłuża trwanie swoje.

Pamiętajmy o tem, strzegąc, jak źrenicy ocznej, owych przyrodzonych fundamentów narodowego bytu.

Tak-ci jest... naszego polskiego bytu!

ANTONI MIECZNIK.





Krajobrazy zimowe (fot. am. pp.: Gumowskiego, Wł. Zapalskiego i p. Romańskiej).

Paleon.

Zachwyconem okiem patrzał Wojtek przez niedomknięte drzwi jadalni na jarzącą się światłem choinkę.

Stała pośród pokoju, ogromna, pod sufit sięgająca prawie, — spowita w mgły srebrzystego szronu, jak grono bogate, kapiące owocem, słodyczami, świecidłem.

Dokoła „gwiazdki" niby motyl w ruchu — skakały dzieci, paniątka szczęśliwe, uradowane, syte...

Staś dostał biurko, i mały samojazd, Zosia dźwigała lalkę ogromną o wytrzeszczonych, strasznie głupich oczach, i modnej fryzurze.

Izio—najmłodszy, miał pełną buzię cukierków. i różne zabawki.

Ośmioletni Izio był przyjacielem Wojtka.

Mieli ze sobą różne konszachty, bawili się razem, a Wojtek ogrodniczek znosił Iziowi najczerwieńsze jabłka, najlepiej strugał mu z drzewa żołnierzy i konie.

Kochali się bardzo.

To też—gdy Izio spostrzegł w szparze drzwi lnianą czuprynę Wojtka, rzucił część zabawek na kolana matki i skoczył ku drzwiom. „Wojtek... Wojtuś!.. Patrz co ja dostałem!.. trąbkę... konie... książeczki... a i ty Wojtuś dostaniesz książkę... Zobaczysz jaka ładna. Widziałem u mamy..."

Ogrodniczek cofał się od progu, malec ciągnął go naprzód. „Chodź!.. chodź!.. mamusia pozwoli!" „Nie można, paniczku!.. nie można" — wzbraniał się Wojtek. — „Ale chodź!.. mama cię zawoła." Podbiegł do matki, coś zapaplał, i wziąwszy z jej rąk oprawną książkę, przypadł do ogrodniczka.

„Wojtuś! masz!.. To od mamy! taka ładna książka z obrazkami!"

Mama wiedziała czem Wojtka ucieszyć — słyszała że chłopak miał chęć do nauki. Czytać się nauczył w ciągu jednej zimy, a potem chłonął co w ręce popadło.



Jędruś (z teki pp. Stanisławowstwa Cywińskich).

Stare dzienniki, książki dziecinne, dzieła ogrodnicze.

Nadewszystko lubił ryciny i malowanki, a to może dla tego, że prostym kozikiem wycinał według tych wzorów figurki, konie.

Jako podarek gwiazdkowy Pani wybrała dla Wojtka bogato ilustrowaną opowieść o Napoleonie I-ym, ściśle historyczną.

U Wojtka radość była cichą i skupioną.

Przez dwa dni świąteczne leżąc w oranżerji, czytał i odczytywał swą książkę.

Porwały go opisy bitew, bohaterstw i zwycięstw, ale zachwycił go nadewszystko obrazek, przedstawiający Napoleona z rękoma skrzyżowanemi na piersiach, w trykornie i słynnej kapocie.

Wojtek porwał za kozik, wynalazł wśród starych gratów, okruch miękkiego kamienia — i póty się porał z trudnościami, póki nie wyrzeźbił w małych rozmiarach postaci wielkiego wodza.

W kilka dni po świętach zeszedł się z Iziem na ślizgawce w ogrodzie.

Przypiął łyżwy dzieciom i pokazał swemu małemu druhowi wyrzeźbioną figurkę.

„Czy to jest Paleon?" Zapytał Izio.

„Paleon"—odrzekł Wojtek.

„Ja to pokażę mamusi" — rzekł Izio. Mamusia mówiła, żebym jej przyniósł coś, co ty wytniesz kozikiem".

Izio przy obiedzie wyjął z kieszeni figurkę i pokazał matce.

Pani popatrzała, obejrzała uważnie i, podając mężowi, rzekła: „Ależ to jest poprostu doskonałe!"

Izio zaczerwienił się z radości. „Czy to taki był Paleon, mamo? „Taki, zupełnie taki był Napoleon" — poprawił ojciec, przyglądając się uważnie szczegółom roboty.

Rzeźba była tak udatna, proporcja tak zachowana, że rodzice długo oglądali figurkę, rozmawiali o zdolnościach Wojtka, nad czemś radzili... jakieś dalekie robili projekty dla przyszłości chłopca.

Tymczasem Paleon stał się ulubioną zabawką Izia.

Na kilka cali wysoki posążek wielkiego cesarza, niby jakieś pogańskie bożyszcze, został ukochanym przez dziecko w sposób zupełnie niezwykły.

Opowieści o jego czynach rozpalały głowy ogrodniczka i paniczyka. Wiedli o nim długie rozmowy, wczytywali się w jego życie, i powoli stał się między nimi niby jakiś łącznik... jakiś mistyczny ideał wszechpiękna i wszechsiły, stanowił drogą ich tajemnicę.

Niekiedy u dzieci rodzą się tak mocne umiłowania przedmiotu, które są jakby początkiem umiłowania idei w życiu późniejszem.

Izio nie rozstawał się z swym Paleonem.

Chodząc na przechadzkę brał go do kieszeni paltota, podczas obiadu kładł go na krześle lub ukrywał pod bluzę.

Nie chciał, aby starsi wiedzieli o jego ukochaniu, taił się nawet przed rodzeństwem.

Była to więc tajemnica, łącząca go z Wojtkiem węzłem coraz silniejszym.

Tymczasem rodzice coraz częściej rozmawiali o tem, aby Wojtka wysłać na naukę do miasta, do szkoły rysunku i rzeźby.

Wojtek dowiedział się o tych zamiarach z ust swego przyjaciela, miasto wzbudziło w nim lęk instyktywny, dla Izia rozstanie się z Wojtkiem równało się pierwszej w życiu katastrofie.

Tymczasem Wojtek wczytywał się dalej w życiorys Napoleona, rzeźbił jego postać i jego konia kozikiem w drzewie, przeżywając zwycięztwa, porażki i klęski z żywiołowem przejęciem.

Kiedy dzieci doczytały się chwili wygnania na Św. Helenę, wzburzenie ich na Anglików nie miało granic.



Andrzej Zarzycki (portret A. Ursyna-Niemcewicza).

Była już wiosna, pierwsze dni ciepłe, słoneczne, radosne.

Na stawie w ogrodzie leżała wysepka, zarosła dzikiemi krzami i zielskiem.

Było to ulubione miejsce zabaw dla chłopców.

Małe odludzie, kędy czuli się sami, blizcy życia tajemnego owadów i ptaków.

Sporą, bezpieczną łódką dojeżdzali do małej wysepki i tam długie spędzali godziny.

Pewnej nocy Izio długo nie mógł zasnąć, bo myślał jak to on pomści, kiedy dorośnie, wygnanie swego ukochanego cesarza.

Nazajutrz zeszedł się z Wojtkiem w pobliżu stawu i rzekł z poważną miną:

„Wojtuś — dziś pojedziemy łódką na wyspę Świętej Heleny".

Wojtek wymawiał się pilną robotą w inspektach, ale Izio tak gorąco nalegał, że obiecał prędko się załatwić i nad wieczorem powieźć Izia na wyspę.

Tak się też stało.

Słońce już blizko było zachodu, kiedy chłopcy odbili łódkę od brzegu.

Izio trzymał w ręku swego Paleona — Wojtek wiosłował.

Gdy się znaleźli pośrodku stawu, Izio chciał schwycić za skrzydło kaczkę, która w tej chwili przepływała blizko.

Już miał dosięgnąć jej pierza, kiedy kaczka dała nurka głową, łódka zawahała się, Izio roztworzył ramiona, by równowagi nie stracić i w tejże chwili mały Paleon wysunął mu się z ręki.



Gromadka (z teki p. Józefa Drège).

Z ust Izia wyrwał się krzyk rozpaczy.

Zerwał się i wyglądał, jakby się chciał w wodę rzucić za nim, ale Wojtek przytomnie chwycił go oburącz i siłą posadził na ławce.

„Utonął! Zawołał Izio. — Paleon mój utonął!..“ i łzy gradem puściły się z oczów,

Rozpacz dziecka utaić się nie dała. Przez kilka dni krył się z nią przed rodzicami, ale nic nie jadł, nie spał... mizerniał. Zdawało mu się, że jakieś wielkie ukochanie ubyło mu w świecie, i żadna zabawa mu go nie zastąpi.

Wojtek daremnie obiecywał wyrzeźbić drugą figurkę, Izio wciąż powtarzał: „Nie... nie chcę innego.“

Pewnej nocy Izio dostał gorączki, rodzice zalękli się bardzo.

W malignie mówił ciągle o swym Paleonie — i nieprzytomny wygadał się o całem zdarzeniu.

Wówczas ojciec obiecał, że każe staw spuścić i szukać figurki.

Izio powoli wracał do zdrowia. Według obietnicy, wodę ze stawu spuszczono, ale figurka snać w muł tak zapadła, że mimo starannych poszukiwań, odnaleźć jej nie było można.

Rodzice sprowadzili z miasta podobną statuetkę wielkiego cesarza, ale ta już nie miała uroku dla chłopca.

Jego Paleon nie mógł być żadnym innym zastąpiony, i Izio nigdy o nim nie wspominał, i nie lubił nawet, by o tem mówiono.

Dziś, Wojtek, kształcony przez rodziców Izia, jest jednym ze znanych rzeźbiarzy.

A dawny bałwochwalczy wielbiciel Cesarza z równym może zapałem hołduje wszystkiemu co śmiałe i wzniosłe.

Dwóch młodych ludzi wierna łączy przyjaźń.

IDA PILECKA.



ZUZANNA RABSKA.

W śniegu.

Na dachy i na drzewa zwolna śnieg dziś prószy,
Na ziemię, co zasnęła, na duszę uśpioną...
W cichy całun spowija świata chłodne łono,
I me serce wystygłe, wkrada się do duszy—
Do ogrodu, gdzie wszystkie już kwiaty i drzewa,
Wszystko, co życiem było—umarło na wieki...
O, ogrodzie mej duszy! Ogrodzie daleki,
W którym gałąź skostniała i ptak już nie śpiewa—
Oto idę ku tobie!.. Smutne, ciche kroki
Ku mej duszy stężałej kieruję powoli,
Aby zajrzeć znów w oczy temu, co tak boli,
Temu, czego już nie ma, bo nurt je głęboki
Życia w siebie pochłonął... Przez białe aleje,
Po mogiłach tych kwiatów, które już nie rosną,
Idę sama—i chłodna... Może znowu, z wiosną,
Tryśnie zieleń—i życie... Lecz dzisiaj ciemnieje
Nagi szkielet drzew smętnych. Śnieg je białym puchem
Stroi, jak młodym kwiatem... W jakiś pozór życia
Ubiera... Ale zima wychodzi z ukrycia.
I nawet śnieg zdmuchuje wiatru złym podmuchem...



Ola (z teki p. Wl. Rabskiego).



Kazia (fot. am. p. K. Łuniewskiej).

W. KRASZEWSKA.

Bądźże mi pozdrowiona!

Bądźże mi pozdrowiona, ty chwilo radosna,
Gdy się sznurem pod niebem wyciągną żórawie
I w ucichłe powietrze rzucą okrzyk: wiosna!
Aż zadrga źdźbło wpółmartwe na zeschłej murawie.

Pozdrowioną niech będzie ta czarowna chwila,
Gdy ciepły wiater letni kłosy zbóż opyla,
I nad płowemi łany, co kłonią się ziemi,
Wznoszą się kwietne pyły tumany złotemi.

I błogosławię ciebie chwilo pożegnania,
Gdy ziemia łzy ros jasnych mgławicą osłania,
Rzewna chwilo rozstania z dniem słonecznym lata,
Gdy jesień już nadchodzi, wichrami skrzydlata.

Pozdrawiam ciebie, chwilo zimowej godziny,
Gdy śnieg opada z chmurnej niebiosów wyżyny
I bezruchomo stoją oszadziałe drzewa—
Cisza—najlżejszy podmuch bieli tej nie zwiewa.



Gwiazdka p. Bolesława.

— Niech pan mi poprawi list do rodziców!..

— I mnie!..

— I mnie!..

Pan Bolesław ma dzisiaj dużo, bardzo dużo pracy. Co raz, to któryś z chłopców zwraca się do niego ze wstydliwem zapytaniem treści ortograficznej, gramatycznej, lub w najlepszym razie stylicznej; co raz, to któryś podsunie mu cały arkusik, zakreślony od początku do końca pismem, stanowiącem nieustanną troskę nauczyciela kaligrafji, — a on, jak zapóźniony perypatetyk, odbywa eliptyczną wędrówkę dookoła wielkiego stołu w sali czytelnianej i rozrzuca z królewską hojnością skarby swej filologicznej erudycji.

Mimo to, z bladej jego twarzy, ujęty w ramy siwiejącego już bujnego zarostu, znikł wyraz zwykłego smutku i znużenia. Łagodne, cicho uśmiechnięte wejrzenie błądzi z niewysłowioną dobrocią, po tych, pochylonych nad zielonem suknem stołu, płowych i ciemnych główinach i usta drżą wzruszeniem, nie dającem się pokonać. Czasami, gdy który z chłopców przerwie obowiązującą tu ciszę jakimś zupełnie nieprzewidzianym i niczem nie dającym się umotywować okrzykiem, lub odruchem (w rodzaju tak zwanego „byka“ naprzykład), główny wychowawca intertu próbuje z nałogu groźnych spojrzeń pogromcy, ale rychło opuszcza go zawodowa surowość. Raz nawet nieostrożność posunął do tego stopnia, że uśmiechnął się w kierunku malca, usiłującego zniszczyć olbrzymiego „żyda“ *more canino*, to iest za pomoca błyskawicznego, niezmiernie subtelnego pociągnięcia językiem po papierze. Dopiero, gdy chłopiec, dokonawszy szczęśliwie tej operacji, splunął siarczyście na froterowaną posadzkę, pan Bolesław uważał za właściwe zadać mu objektywne pytanie:

— Czy nie wiesz, jakie jest przeznaczenie sprzętu, zwanego spluwaczką?



Zuch (z teki p. M. Tarasiewicza).





Chłopiec w odpowiedzi pokazał roześmianemu drwiąco koledze język, zdumiewająco podobny do patki od sznurowanych bucików...

— Niech mi pan poprawi list do rodziców!

Pan Bolesław przystanął za plecami dziewięcioletniego malca, o twarzy opatrzonej na policzkach tak głębokiemi dołkami, że można w nich były chować laskowe orzechy i pochylił się nad jego ramieniem. Czytał mechanicznie, poszukując przewidywanych błędów.

Kochana Mamusiu!

Święta zaczynają się dwudziestego drugiego, w czwartek. Cenzurę mam dobrą, tylko z „artmy“ trója. Ale się poprawię, co tam!.. Cieszę się ogromnie, że Was niedługo zobaczę. Całuję rączki Mamusi.

Kochający syn
Stefek.

Kochany Tatusiu!

Święta zaczynają się dwudziestego drugiego, w czwartek. Cenzurę mam dobrą, tylko z „artmy“ trója. Ale się poprawię, co tam! Cieszę się ogromnie, że Was niedługo zobaczę. Całuję rączki Tatusiowi.

Kochający syn
Stefek.

Kochana Zosiu!

Święta zaczynają się dwudziestego drugiego, w czwartek. Cenzurę mam dobrą, tylko z „artmy“ trója. Ale się poprawię, co tam! Cieszę się ogromnie, że Was niedługo zobaczę. Całuję Cię w buzię.

Kochający brat
Stefek.





W rodzinnem gnieździe (z teki p. Narkiewicza-Jodki z Bębnówki na Podolu).

Ponieważ nieletni korespondent miał pięcioro rodzeństwa, więc komunikat o dacie rozpoczęcia ferji zimowych i trójce z arytmetyki pan Bolesław odczytać musiał jeszcze trzy razy. Nie cztery, jakby należało oczekiwać, ale trzy tylko, gdyż list do najmłodszego braciszka brzmi w szczegółach nieco odmiennie. A mianowicie:

Kochany Januszku!

Przyjeżdżam w piątek. Bardzo się cieszę, że Ciebie znowu zobaczę, bo już zupełnie zapomniałem, jak wyglądasz. Ciekawy jestem bardzo, czy Ty mnie pamiętasz? Całuję Cię w buzię.

Kochający brat

Stefek.



Parka (fot. am. p. Heleny Łukaszewiczówny).

Pan Bolesław, niewiadomo dlaczego, poczuł nagle zupełnie zdecydowane łaskotanie w jamie przełykowej. Pocałował Stefka w prawe, bardzo niebieskie i bardzo mądre oko, następnie uczynił to samo z lewem — i wreszcie zapytał dziwnie głębokim, choć zupełnie cichym głosem:

— Więc ty, Stefku, zupełnie już zapomniałeś, jak wygląda Januszek?

Pożałował w tej samej chwili nieopatrzego pytania, gdyż nagle uderzony został głową malca w miejsce, gdzie zwykł był zawieszać dewizkę od starego, mocno wytartego zegarka; drobne ramiona objęły go z nieprzewidywaną siłą, nieco powyżej

bioder, a gdy oszołomiony, napróżno starał się zdać sobie sprawę z treści tajemniczego wydarzenia, zachłystujący się od łez połykanych głos obwieścił mu z dołu:

— Zapomniałem...

Pan Bolesław, stanąwszy wobec tak bezdennej boleści, zupełnie stracił powagę.

— No, nie płacz, nie płacz, wszystko będzie dobrze, przypomnisz sobie—pocieszał malca, głaszczac go po obciętych maszynką numer zero włosach i stał, rozstawiwszy szeroko nogi i wytrzymując bohatersko ciosy nieutulonej w żalu głowy.

* * *

Wieczorem tego samego dnia, pan Bolesław obchodził sypialnie internatu. Dziesięć wielkich pokojów zalewał półmrok, rozwidniany mętnem światłem wazelinowych lampek nocnych. Miarowe oddechy chłopców drżały w powietrzu, przesyconem na skutek wieczornych ablucji wonią pachnącego mydła. W ciszy głębokiej pulsowały radosne tętna młodego, intensywnego życia. Twarze chłopców, pokryte lekką wilgocią potu, różowiły się jak kwiaty wiosenne,—krwią świeżą i czystą. Usta rozchylone połyskiwały perłami zębów nieskalanej białości. Ręce, złożone na kołdrze, odpoczywały w spokoju, którego nie zaznały w ciągu dnia ani przez chwilę. Szczęście dzieciństwa beztroskiego wykwitało z warg różowych sennemi uśmiechy.



Mali turyści (z teki d-rowej Stankiewiczowej).

Na jednym z łóżek, poruszył się kształt drobny. Okrągłe kolana podniosły się w górę, ściągając kołdrę z piersi dziecięcych. Rozwarły się niebieskie oczy, patrzą cicho.

— Nie śpisz, Stefku?

Pan Bolesław pochylił się nad łóżkiem.

— Nie mogę zasnąć...

Chłopiec usiadł na pościeli...

— Czyś niezdrów?.. Może cię głowa boli?..

— Nie, proszę pana, zdrów jestem...

— A co ci jest?..

— Nie wiem...

Pan Bolesław, przesunął spodem dłoni po czole chłopca.

— Proszę pana,—zaszeptał głos nieśmiały.

— Co, Stefku?

— Czy pan wyjedzie, gdzie na Święta?

— Wychowawca uśmiechnął się smutnie.

— Nie... Tu zostanę...

— A gdzie pan będzie jadł wilję?

Pan Bolesław odwrócił oczy od badawczego spojrzenia chłopca. Poczuł się nagle bardzo, bardzo biednym i jakby zawstydzonym.

— Tutaj... U siebie...

— Sam?

Chłopiec uniósł się na pościeli, patrzył z niepokojem.

— Sam? — powtórzył.

Pan Bolesław milczał.

— Dlaczego pan nie ma żony? Dlaczego pan nie ma synka?

— Miałem.

Chłopiec patrzył z coraz większym przerażeniem.

— I... co się z niemi stało?

— Umarli mi, chłopcze!

Dwie małe rączki oplotły szyję pana Bolesława. Po twarzy wychowawcy płynęły łzy— nie wiedział czyje: jego, czy Stefka?

— Uspokój się, chłopcze,— szeptał cicho, tłumiąc łkania... Przecież mam was wszystkich... Przecież mnie kochacie... Przecież wy jesteście tak, jak moje dzieci.

Stefek, drżąc od łkań, nie przestawał całować mokremi ustami również mokrych wąsów i brody pana Bolesława. Nagle zamarł w skupionem zamyśleniu.

— Proszę pana!..

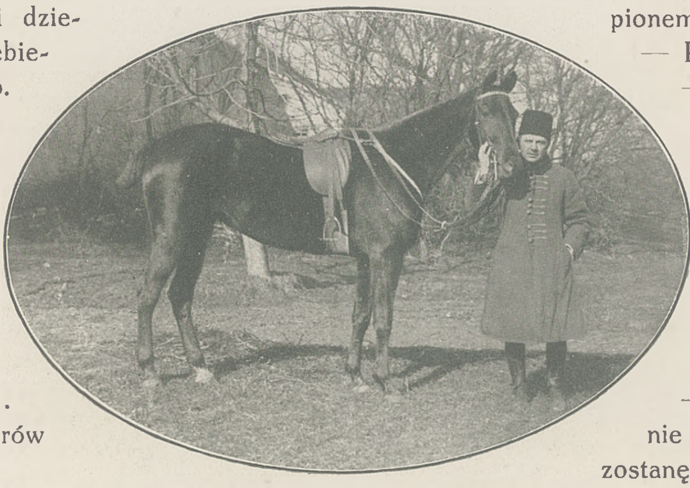
— Co, mój chłopaku drogi?

— Niech pan nie wysyła mego listu. Jutro napiszę do mamusi, żeby mi przysłała fotografję Januszka.

— Po co? Sam ją zabierzesz z domu.

— Nie, proszę pana... Ja nie pojadę do domu... Ja... zostanę tutaj.

Czerwony Dwór. LEON RYGIER.



Wierzchówka (z teki p. J. Dąmbskiego).





Smutno mi Boże!
Słyszę szept dziecinny...
„Ojcze nasz, — mówi — który jesteś w niebie",
„Święć się Twe Imię" i „odpuść nam winy" —
Mówi do Ciebie...
Że już to dziecko o coś prosić może —
Smutno mi, Boże!
I ja chłopięciem przed srebrnym obłokiem,
Gdzie złoty trójkąt z białą gołębicą,
Klękałem niegdyś z rozmodlonem okiem,
Ufną źrenicą,
Że dziś, nie patrząc, jeno głowę korzę —
Smutno mi, Boże!




Smutno mi, Boże!
Od Twojego nieba
Do mojej ziemi śnieżne płaty lecą
I po zagonach powszedniego chleba
Zamrozem świecą...
Że siejesz lodem, mając w skarbcu zorze —
Smutno mi, Boże!
I chociaż stojąc pod Chrystusa Krzyżem,
Co w swe ramiona objął moje pola,
I ja z dziecięcym powtarzam pacierzem:
„Bądź Twoja wola"
Gdy w samotności myśl u stóp Twych złożę —
Smutno mi, Boże!

El.








Zima (fot. am. p. Karnkowskiej).

Kocham cię Przyrodo!..

Kocham! Ach, kocham cię, Przyrodo!
W dziecięcej twej epoce,
Gdy po nad runią bujną, młodą,
Skowronek się trzepoce,
Gdy się z pod pieluch mgły różowej
Rozglądasz wkrąg ciekawie
Po pączkach drzewin, wśród dąbrowy,
Zielono-żółtej trawie,
I gdy całują cię w kolebce
Świty, co lśnią na niebie,
Wietrzyk-piastunka baśń ci szepce,
I do snu cię kołebie...

Kocham cię w wieku dziewiczości,
Płonącą róż rumieńcem,
Gdy wśród weselnych swatów, gości,
Schodzisz się z oblubieńcem,
Gdy pierś twa łanem niw się wzdyma,
Źrenice-chabry marzą,
I czując w sobie moc olbrzyma,
Pod jej zasypiasz strażą,
A gdy się zbudzisz powój-ramię
Z pod ros wyciągasz rąbka,
I jawiąc miłość, co nie kłamie,
Pierś muskasz, jak gołąbka...

W namiętnym kocham cię okresie,
Gdy słońca żar cię pali,
I tylko noc ci ulgę niesie
Dla soków wrzących fali,
Gdy spiekłe wargi — kwiat dojrzały,
Rozchylasz całkowicie,
I chłonąc w siebie życia szały,
Wytwarzasz setne życie,
I gdy wśród pól i łąk, i żyta
Z pragnienia więdną zioła,
W ździeble każdem kipi żądza skryta —
O rozkosz nową woła...

Kocham cię! Kocham! Gdy twe skronie
Wkrąg zachód opromienia,
W purpurze ciemna zieleń tonie,
By we krwi poświęcenia,
Gdy na gałęziach, jak u łona,
Piastujesz płód — swe dziecię,
I w macierzyństwie pogrążona,
W potomnym żyjesz świecie,
I płodu przyszłość śniąc z rozkoszą,
Rozglądasz się troskliwie
Po członkach swych, co podpór proszą,
I w plon bogatem żniwie...

Kocham cię w sinej mgieł osłonie
I w melancholii cichej,
Gdy wiatr jesieni chłodem wionie
Na zgasłe twe przepychy,
I, jakby senne, stoją drzewa,
Pożółkłe wdziawszy czepce,
A zeschłe liście wiatr rozwiewa,
I smętne wróżby szepce,
Gdy starość — pług twe radli czoło
W brózd — zmarszczek zagłębienia,
A szron twe skronie wieńczy wkoło,
Siwizną opromienia...

Pod śniegów kocham cię pościelą,
Gdy świeci księżyc blady,
I jak tłum duchów wkrąg się bielą
Zarośla, gaje, sady,
Gdy, jak staruszka utrudzona,
W puchowem drzemiesz łożu —
I cisza wielka, niezgłębiona,
Rozciąga się w przestworzu,
I tylko gwiazdy w dal migocą,
By srebrny haft bogaty,
I gdzieś samotne, późną nocą.
Światełko błyska z chaty...

Kocham cię z wiosną i w jesieni,
Zarówno zimą; w lecie,
Czy szata łąk twych się zieleni,
Czy zeschłe strząsasz kwiecie,
Czy zwolna więdniesz w słońca żarze,
Lub drzemiesz w śniegów bieli —
Z tobą miłuję, tęsknię, marzę,
Mój duch się z tobą dzieli,
I czy to rankiem, czy wieczorem,
W południe, czy też w nocy,
Do ciebie spieszę z sercem chorem,
Ból tłumić swój sierocy...

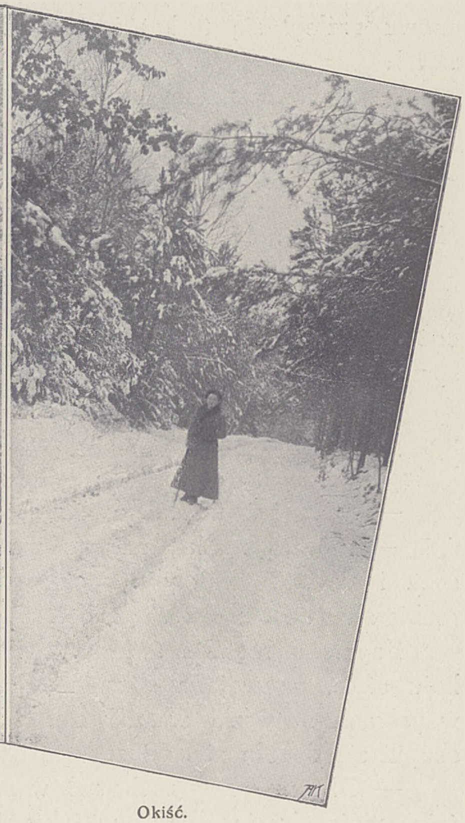
WIKTOR DZIERŻANOWSKI.



Na stanowisku.



Ponowa.
(Fot. am. p. Karnkowskiej z Karnkowa).



Okiść.

Herodowe plemię.

— Widzisz?

— Nic nie widzę.

— Toś już ślepy, mój stary!

— Tylko bez tych przymówek — odparł żartobliwie mąż—bo wiesz, że jak na wąs namotam...

— To sam później nie odmotam — dokończyła, śmiejąc się, sędziwa żona, na której licach zachowały się ślady niezwykłej urody. Rzekłszy to, podniosła rękę do góry i przez szybę wskazała niebo.

— Nie widzisz gwiazdy, którą zwykle, oczekując naszych dzieci, najpierwsi witaliśmy?

— A... teraz widzę... masz słuszność... to gwiazda wigilijna w nasze okna zagląda.

— Od tylu lat — powtórzyła żona, cicho westchnąwszy.

Mąż musnął siwego wąsa, ale od westchnienia się powstrzymał; uczucie rzewne odmalowało się na jego zmarszczkami pooranej twarzy.

— Pamiętasz, kiedy Kazio pierwszy raz miał ze szkół na święta Bożego Narodzenia przyjechać?..

Kobieta kiwnęła głową i dodała:

— Dziś nie przyjedzie...

Przez chwilę milczeli oboje, patrząc na niebo, które wraz z zapadającą nocą zaczęło się coraz silniej wyiskrzać.

— Pamiętasz, jak przez to samo okno pokazywaliśmy Joasi gwiazdy, a ona wyciągała do nich rączki?

— Dawno to już, co prawda, ale pamiętam... pierwszą naszą wigilję z Joasią... Maleństwo to było, a jakie sprytne — widzę ją, jak się wyrywała do choinki...

— Tak ci się zdawało — mój drogi. Co ona wówczas rozumiała...

— Nie sprzeczaj się, nasza Joasia była niezwykłem dzieckiem.

Żona uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, że o doskonałościach faworytki ojca nie wolno było wątpić.

— Jakoś ich nie widać... powinni być już oddawna.

— Przyjadą... Nie jest tak późno... Adam dopiero kończy słomę na stole rozkładać.

I znowu zbliżyli twarze do okna.

— Nic nie słyszysz?

— Ktoś jedzie...

— Już słyszę głos Joasi.

— Oj ty, ty, w gorącej wodzie kąpany — reflektowała żona.

Mąż nie odpowiedział, bo właśnie przed ganek zajechały sanki, a służba wybiegła na wyścigi do pożądanych gości.

Państwo także pospieszyli do sieni i wrócili otoczeni gromadką zaproszonych, bezżennych, sąsiadów. Jeszcze powitalne pocałunki nie ucichły, gdy

znowu rozległ się turkot i stary sługa, Adam, zawołał:

— Panienka nasza przyjechała!

A stojąca za nim Marysia, pokojowa, zgromiła go z oburzeniem:

— Pan Adam zawsze po swojemu... Nie panienka Joasia, tylko już oddawna pani Kryńska z córeczkami i synkami.

— I z mężem — dodał Adam, kontent, że mógł coś zarzucić swej towarzysce, z którą o byle co się sprzeczali.

W obszernych pokojach naraz stało się gwarno, jak w ulu. Radosnym wykrzyknikom nie było końca.

— A ja już myślałam, że się Stasiowie spóźnią — mówiła matka, patrząc z miłością w oczy syna i synowej, którzy z pomocą Adama i Marysi rozbierali dzieci z szubek, chustek i szalików.

Zapalono rzęsiste światło. W przyległym pokoju stała, wystrojona ślicznie, choinka. Wkrótce w palcach staruszki znalazł się opłatek. Wszyscy skupili się dokoła niego i zaczęto składanie życzeń.

— Oby was Bóg zachował w zdrowiu i szczęściu, moje drogie dzieci, w jak najdłuższe lata — tego wam życzy matka i babka może poraz ostatni, bo mnie już czas w inną drogę, a przed wami życie.

Ogólny protest przerwał mowę babuni, której wnuczęta nie chciały pozwolić nie tylko umierać, ale nawet nigdy chorować.

Mąż, przełamawszy się opłatkiem ze „starą“ i zburczawszy ją za jeremiady żałobne w dzień tak uroczystego wesela, jak Narodzenie Jezusa, łamał się następnie z zięciem Stanisławem, z ukochaną Joasią, z wnuczętami i wreszcie ze służbą, od najstarszego do najmłodszego, od kredencerza do pastuszka.

Adam chodził także od młodych do starszych, każdego obsypał życzeniami, a starszej pani zapytał:

— Czy pan Kazimierz przyjedzie?

— Mój stary, nie rozczulaj nas — odrzekła pani i prędko odwróciła się do okna.

— Kazio nic nie pisał? — zapytała Joasia, przysuwając ojcu fotel.

Ojciec brwi siwe nastroszył i krótko odpowiedział:

— Nie.

To pytanie i odpowiedź mocno go zabolały.

— Dawniej częściej pisywał — odezwała się znów Joasia.

— I teraz otrzymaliśmy od niego cały arkusz, na wszystkie cztery strony zapisany, ale zapisany radami bezbożnemi... Pisze, żeby Stanissław sprzedał Zalesie, i przyjechał do niego, do Ameryki, gdzie otwierają jakiś nowy, wielki bank, do którego i on, jako akcjonarjusz, przystępuje. Cały list zabazgrany liczbami i zatłuszczony tranem... Czyż to się listem wigilijnym nazywa?.. Same obliczania zysków... same żydowskie kalkulacje... o opłatku ani słówka!

Czoło starca chmurzyło się coraz więcej; widząc to Joasia, starała się zmienić przedmiot rozmowy. Udało się jej to łatwo, gdyż oznajmiono, że zupa rybna na stole.

Powstali wszyscy i parami szli do jadalni.

— Ja z moim staruszkiem — to jedna para — zaczęła pani domu. — Joasia z mężem — to druga para; wnuczki i szanowni sąsiedzi złożą się na trzy pary — a kuzynka Olesia sama sobie towarzysza wynajdzie.

— Olesiu wybieraj... — prosił gospodarz — przy wigilijnym stole powinno być parzysto...

Na chwilę zapanowała cisza. Potem stary Adam odezwał się, przecierając sobie oczy, jakby się nagle z marzenia przebudził:

— Panna Olesia, to będzie para z panem Kazimierzem.

— Który teraz może na morskie potwory poluje — zażartował sobie pan Stanisław, ale w żarcie tym było więcej smutku, niż wesołości.

— Ech! — odpowiedział sługa — Bóg wie, co on teraz robi. Jak był w szkołach, zawsze przyjeżdżał pierwszy.

— Ot, lepiej siadaj, stary gaduło, przy pięknej Olesi i będzie parzysto — zachęcał gospodarz; zachęcała także pani domu serdecznie, a sługa, dziękując za pańską łaskawość, zwłóczył, oczy przecierał i powtarzał:

— Jakoś mi się zdaje, że jeszcze ktoś przyjedzie. Jakbym słyszał pana Kazimierza...

— Mój Adamie, na cud nie czekaj i siadaj, mówię ci...

Westchnął sługa i nieśmiało postępował na wyznaczone sobie miejsce, jakby przeczuwał, że wkrótce komu innemu ustąpi.

Wtem w sieni psy warczyć zaczęły, rozległy się czyjeś ciężkie kroki i drzwi do pokoju bawialnego szeroko się rozwarły.

Wszyscy zaciekawionym wzrokiem pytali:

— Kto to? — gdy na progu stanął mężczyzna z cudzoziemska ubrany, o bladej twarzy,

Złote binokle zakładał na nos i, niby wzruszony, niby zadziwiony, stał w miejscu i patrzył przed siebie. Nareszcie szybkim ruchem ręki odjął binokle od oczu i zapytał:

— Nie poznajecie mnie?

Na głos ten rozjaśniły się twarze wszystkich. A okrzyk „Kaziu!“ co się wyrwał z piersi rodziców, świadczył, że to naprawdę Kazio być mu-

si, bo tylko rodzone dziecko wita się tak radośnie.

Stary Adam nie witał, tylko wciąż powtarzał:

— Cud Boży!

— Ale się zmieniłeś, ani śladu rumieńców, ani śladu bujnej czupryny! — ubolewała Joasia, uwiesiwszy się u szyi ślicznego braciszka, który przed kilku laty wyruszył w świat na oślep.

— Gdzieżeś to podział wąsy? — pytała matka, pytali wszyscy, każdy o coś innego, tylko Adam ciągle jedno w koło powtarzał: — Cuda się dzieją i jeszcze większe dziać się będą!

* * *

Kazimierz, posadzony za stołem przy Olesi, z czego śliczna sierotka była bardzo rada, zaczął opowiadać, co go dziś tu sprowadziło. Mówiąc, posiłkował się zwrotami z języka angielskiego. Często rozpoczęte zdanie urywał, szukając w pamięci polskiego wyrazu.

Jakaś obcość biła mu z twarzy, a w oczach zagasło wrażenie, rozbudzone w chwili przywitania. Mówił dużo, wyłuszczając powody swojej podróży: oto chce z sobą zabrać na drugą półkulę Stanisława, który pomimo pracowitości milionów się na roli nie dorobi. Zyskowne przedsiębiorstwo samo wchodzi im w rękę, mogą na niem zarobić po 100,000 dolarów, a potem miliony. Trzeba tylko do sumy, którą Kazio zebrał w ciągu swej włóczęgi po obczyźnie, dodać kapitalik, jaki można otrzymać ze sprzedaży folwarku, na którym złoto się nie rodzi.

Rozumowanie Kazimierza wywarło na rodziców przykre wrażenie.

— Jakto — pomyśleli — od tego zaczyna po kilku latach rozłąki z nami?

Tylko na twarzy matki Kazimierza nie było smutku. Matka nawet nie słuchała tego, co mówił, uszczęśliwiona, że syna ma przed sobą, że patrzy na niego i słyszy głos upragniony.

Lecz ojciec zasępił się i nagle przerwał rozmowę.

— Mój kochany, lepiej powiedziałbyś nam co o swej narzeczonej; wszak wspomniałeś w ostatnim liście, że masz już żonę upatrzoną? Będzie to milszy przedmiot do rozmowy przy wigiliinym stole, niż kuszenie, ażeby sprzedać polską ziemię, na której i ty się wychowałeś, a prawdę mówiąc, niczem się jej za to nie odwdzięczyłeś.

Kazimierz, jakby nie rozumiejąc wymówki, odrzekł:

— Żenię się z córką pana Foxe, największego akcjonarjusza rzeźni nowojorskiej.

— Więc bardzo bogata? — dorzucił Stanisław z ironicznym naciskiem.

— O, nawet ogromnie!

— Będę miała bratowę amerykankę; ciekawam, jak wygląda, czy dobra, gospodarna? — dopytywała siostra, śmiejąc się z wyboru braciszka, a matka badała, czy jej przyszła synowa jest pobożna, i czy nie ma jej fotografji?

— O fotografję pamiątkową dla was nie prosiłem, i bez niej dowiecie się państwo jak wygląda.

Sięgnął do kieszeni surduta i wyjął z niej notatnik. Otworzył go i szukał czegoś, przeglądając liczbami zapisane kartki.

— O, *is* — rzekł wreszcie — przepraszam, to obliczenie ile kosztuje sprowadzenie z nad brzegów Missisipi dziesięciu krokodylów, z których skóry, wypchane, wysłaliśmy do gabinetów zoologicznych...

Zaczął szukać znowu.

— Jeszcze nie to — mówił flegmatycznie. — Rachunek za tran... o, nareszcie... proszę słuchać... oto mniej więcej jak się przedstawia moja narzeczona. Za życia jej rodziców będę pobierał 10,000 dolarów rocznej renty, po śmierci zaś starych, otrzymam część majątku, który da mi dwa razy tyle dochodu.

Z zadowoleniem spojrzał po obecnych, a zwłaszcza na ojca i szwagra, jakby im rzucał pytanie: czy żeniąc się tak posażnie, mało jeszcze uczynił dla swej ubogiej ojczyzny?

* * *

Po skończonej wigilji, wszyscy przeszli do pokoju, w którym płonęła choinka.

BOL. SCH. WOL...

Powiadają...

Powiadają, że widać już świty,
Że już zorze rumienią błękity,
Że prostaczków już słychać wołanie,
Że się rodzisz Ty, Wszechmocny Panie,
I w ubóstwie Boskiej aureoli
Niesiesz pokój ludziom dobrej woli...

Niesiesz pokój ludziom dobrej woli,
A twa chwała płynie od niebiosów
I na nowo świat cały okoli
I w miljonach odezwie się głosów,
Co wołają, że od lat tysięcy
Ludzkość kocha Ciebie najgoręcej!

Powiadają, że pragną iść przodem,
W Twoje ślady, naród przed narodem,
Że pod Twojęm Chrystusowem mianem
Nic nikomu nie będzie... zabranem...
Powiadają Boskiemu Dzieciątku,
Że jest czczone w najmniejszym zakątku,
Że najwięksi praw Jego słuchają...
Powiadają...

Dzieci Joasi biegały dokoła drzewka. Jak złote gwiazdki błyszczały światełka na gałązkach. Starsi z uśmiechem i rozrzewnieniem spoglądali na dzieci, przypominając sobie własną przeszłość, co jak sen minęła.

Kazimierz stanął przy oknie i spojrzał na śnieżnym kobiercem okryte pola. Wtem drobne rączyny objęły jego szyję. Obejrzał się, za nim stała Joasia ze swą córeczką...

— To wujaszek — mówiła do dziewczynki, a ta objęła wujaszka jeszcze silniej.

Szczery uścisk dziecka i szczebiot:

— Wujcio, mój wujcio kochany — przejęły Kazimierza.

Spojrzał na uśmiechnięte oczy dziewczynki i ręką pogładził jej jasne włoski.

— I ja tej ślicznotki dotychczas nie znałem...

— Boś nie chciał... przecież zapraszaliśmy cię na ojca chrzestnego.

Kazimierz znowu włożył binokle.

— Tak, przypominam sobie, ale właśnie w tym czasie lokowałem pierwsze moje oszczędności u bankierów nowojorskich i to na wybornych warunkach.

Wsunął ręce w kieszenie i z tryumfem zawołał:

— Joasiu, ja wkrótce będę miljonerem!

Siostra podniosła na niego zdziwione oczy. Cicho szepnęła, ujmując brata za rękę:

— Kaziu, spojrzyj tam.

Powoli, jak zaledwie pochwytne mgły w noc majową, powstawały i snuły się przez mózg i serce jego wspomnienia lat dziecinnych.

Patrzył na dobrze znane sobie kąty różne dworu rodzinnego i poznawał obrazy na jego ścianach rozwieszone; poznawał miejsce, gdzie zwykle matka modliła się przed wizerunkiem Częstochowskiej, a dalej kącik przy dużym piecu, gdzie się z Joasią bawili.

Kazio wyjął ręce z kieszeni, przesunął je po czole, po oczach i wzrok zatrzymał na ojcu i matce.

— Zmienili się bardzo od czasu, jak się z wami rozstałem. Postarzeli oboje...

— I ty chciałbyś i nas jeszcze od nich oderwać?

— Nie przesadzaj, moja droga — nie odrywam, nie gwałcę... niech siedzą, gdzie im lepiej i wygodniej, ale mnie marzenia polskie już dawno wywietrzały z głowy, trzeba myśleć o jutrze, a my nie umiemy pracować na giełdzie, dorabiać się jak cudzoziemcy.

Ledwie Kazimierz, dumnie wyprostowany, skończył swą apostrofę, pełną podług niego praktycznej mądrości, odezwało się wezwanie starego Adama, że już czas na Pasterkę.

— Na Pasterkę! na Pasterkę! — powtórzono chóralnie za rodzicami, a Kazimierz nie wiedząc co z sobą zrobić, czy uledz staremu zwyczajowi, czy zostać w domu, dał się jak dziecko okutać Adamowi w ciepłą wilczurę i posadzić do rozłożystych sani z jegomością.

* * *

— Kaziu—zaczął ojciec.

— Słucham.

— Teraz, gdy jesteśmy sami, powiem ci synu, nie handluj ziemią polską po amerykańsku...

— Jakto?

— Oto namawiasz Stanisława, ażeby sprzedał folwark i opuścił kraj nazawsze.

— Ależ ja chcę jego dobra...

— Jakiego?—zapytał starzec surowo.

— Chcę, aby się wzbogacił—to jasne.

Starzec westchnął.

— Mój synu, nie poznaję cię. Tobie w głowie tylko dolary, tylko złoto, nie ojczyzna, nie błogosławieństwo Boże, nie nasza starość...

Umilkli.

Przed nimi rozlegała się równina, na której czerniały drzewa przydrożne i błyszczały światła w oknach sąsiednich wiosek. Wiatr przelatywał po nad ich głowami.

Wkrótce wjechali w opłotki wiejskie, następnie między dwa rzędy chat słomą krytych, wreszcie stanęli przed kościołkiem, sowicie oświetlonym. Zdala biła od niego jasność, brzmiały śpiewy, dźwięczały dzwonki i grały organy.

Widać było korne postacie wiejskiego ludu, a w głębi kościołka pozłocisty ornat księdza proboszcza.

Pieśń „Bóg się rodzi, moc truchleje" płynęła z ust pobożnej gromady, zdawało się, że na tej pieśni kościołek unosi się ku niebu. W falach ludzkiego głosu odzywały się wiara, nadzieja i miłość nieskończona.

Wiatr uderzał w ściany kościołka, ksiądz pleban wyciągnął dłonie po nad pochylone głowy wiernych, wzniósł oczy do góry, twarz mu natchnieniem mówiła.

„Bóg się rodzi..." wciąż brzmiało.

Kazimierz z ojcem przedostali się do ławek przy wielkim ołtarzu, i usiedli obok Joasi.

Kazimierz, stuliwszy się w ławce, spoglądał długo na schyloną główkę Olesi i wiedząc, że jest sierotą ubogą, myślał o jaki posag prosi Boga. Myślał i na jej intencję złożył ręce do modlitwy.

— Zapomniałem — szepnął do siebie zawstydzony, a do siostry: — zapomniałem pacierza—i ukrył czoło w dłoniach.



Siostrzyczka (z teki pp. Józefowstwa Cywińskich).

Usprawiedliwiał siebie przed własnem sumieniem i przed księdzem proboszczem, który go niegdyś pacierza nauczał i ani przypuszczał, że uczeń jego ukochany, z dziada pradziada katolik, przyjaciel gromady wiejskiej, kiedyś modlitwy zapomni.

Pleban przemawiał do wiernych o radości, z jaką powinni dziękować Bogu za zesłanie Dzieciątka Jezus, więc przypominał im okrutnego Heroda, który, chcąc zgładzić Dzieciątko Boże, kazał siepaczom swoim mordować wszystkie niemowlęta, sądząc, iż między niemi znajdzie Jezuska.

— W tej zbrodni i wy wszyscy będziecie mieć udział, jeśli zapiszecie się do herodowego plemienia, jeśli zgubicie swoje własne dziecko, odwodząc je od nauki Kościoła, jeśli w lenistwie i innej rozpuście roztrwonicie swoją ziemię, jeśli przefrymarczycie Ojczyznę ukochaną, której każdy kawałek, to rączka, to nóżka, to główka owych niewinnych niemowląt. Powiedzcie, czy jest kto między wami, któryby chciał się zwać Herodem, któryby tracił ziemię rodzoną, jak tamten okrutnik tracił niemowlęta? Wierzę, że między wami niema Herodów, że Jezuska, który się nam dziś narodził, nie wypuścicie z ziemi polskiej, lecz cnotami swojemi osłonicie od szatanów, którzy na was czyhają...



Braciszek i Siostrzyczka (z teki pp. Stanisławowstwa Tugutów).

Ksiądz chciał jeszcze nauczać, ale przerwał mu jeden z parafian, który już był przygotowany do sprzedaży swej zagrody i przyszedł dziś po raz ostatni w życiu pożegnać swego Zbawiciela.

Chłop, rosły jak dąb, zaszlochał głośno i zawołał:

— Jest Herod między nami, ojcze dobrodzieju. A toć to ja chciałem zamordować niewinne dzieciątko, a toć to ja chciał sprzedać swoją ojcowiznę obcemu człowiekowi. Ojcze dobrodzieju, odpuść grzech ciężki, a wy bracia, tej samej co ja wiary, przejdźcie po mojem ciele, nie żałujcie nóg swoich i zadepczcie herodowego wysłańca.

I chłop runął na ziemię u samego progu świątyni, wyciągnął ręce, jakby był gotów zawisnąć na krzyżu i zapłakał tak serdecznie, że cała gromada zaczęła mu jękiem wtórować. Ksiądz nachylił się do pokutnika i podniósł mu głowę, a spostrzegłszy w tej chwili Kazimierza, przemówił do jego matki:

— Powinszować powrotu Kazia... oby był pociechą waszej starości.

— To nasz panicz! — odezwał się chłop pokutujący, ujął rękę szlachecką i chciał ją do ust przycisnąć. Kazimierz na to nie pozwolił, tylko rzekł:

— I ja do herodowego plemienia chciałem się zapisać.

* * *

— Matko — mówił Kazimierz, gdy mknęli przez drzemiące pod śniegiem pola—mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

— Jakąż to, mój drogi synu?

Jemu głos zadrżał:

— Jeszcze raz was opuszczę, lecz na drugi rok o tej porze, pozwólcie mi wrócić do Polski na zawsze.

. . . .

SĘP.

Ś. p. Wincenty Chościak-Popiel.

Arcybiskup metropolita Warszawski.

W dniu 7 grudnia o godzinie 3-ej po poł. zakończył życie najstarszy z książąt Kościoła w Polsce, Wincenty Chościak-Popiel, arcybiskup metropolita warszawski.

Ś. p. arcybiskup Wincenty Chościak-Popiel przyszedł na świat 29-go czerwca 1825 roku w majątku rodziców swoich Czaple Wielkie, położonym malowniczo na wzgórzach miechowskich. Dziadem jego był Paweł Popiel, kasztelan sandomierski, ojcem Konstanty, poseł sejmowy, matką zaś Zofja z hr. Badenich. W staroszlacheckiem tem gnieździe panowała zasada, uwieczniona przez usta Ossolińskiego: „Panią i gospodynią naszego narodu jest święta wiara katolicka". W zasadzie tej starannie wychowywany, oddany został do pensjonatu znakomitego pisarza, Józefa Kremera, poczem wstąpił na kursa prawne w Warszawie, które ukończył w r. 1845. W rok później dotknęła go strata bolesna: śmierć rodzica.

Powrócił na wieś, do matki, i z nią czas jakiś zarządzał rodzinnym majątkiem, aż wreszcie, posłuszny głosowi powołania, w r. 1847-ym wstąpił do seminarjum kieleckiego, gdzie z rąk biskupa sandomierskiego, ks. J. Goldmana, w dniu 5-ym sierpnia 1849-go roku otrzymał święcenia kapłańskie. Dalsze studja odbywał w Lowanium, gdzie uzyskał stopień d-ra św. Teologji. Powróciwszy do Kielc, powołany został na stanowisko profesora w seminarjum. Przeniesiony w r. 1862-gim do Akademji duchownej w Warszawie, wkrótce potem prekonizowany został na biskupa płockiego i w prastarym tumie płockim konsekrowany przez biskupa Platera w dniu 6-ym grudnia 1863-go roku. Tu zaczęła się praca ciężka młodego podówczas Księcia Kościoła.

Sześć lat na wygnaniu spędził w Nowogrodzie między rokiem 1869-ym a 1875-ym. Kres położyły mu układy między rządem rosyjskim, a Stolicą Apostolską, których wynikiem była bulla papieska z dnia 5-go lipca 1875-go roku, powołująca ks. Popiela na stolicę biskupstwa kujawsko-kaliskiego we Włocławku.

Na nowem stanowisku, równie twarde, jak i na poprzedniem, czekały go losy. Podniesienie ducha i skrzepienie karności w seminarjum, oraz gruntowne odbudowanie chylące się ku upadkowi katedry,—oto główne cele, jakie sobie wytknął na nowej placówce. A nie łatwe były one do spełnienia w warunkach wyjątkowych, wśród anomalji ogólnych stosunków. I trzeba było, zaiste, wielkiej wytrwałości i cierpliwości, by poczętą w obu kierunkach pracę doprowadzić do tego stanu, w jakim go oddał swemu następcy, gdy po rezygnacji ś. p. arcybiskupa Felińskiego, prekonizowany został na konsystorzu papieskim w dn. 15-ym marca r. 1883-go na arcybiskupa warszawskiego. Uroczysty ingres na stolicę metropolitalną odbył się dn. 10 czerwca t. r.

Przez półwiekowy blisko ciąg swego episkopatu, wśród niezliczonych burz i nawałnic, jakie krajem miotały, gorąco do kraju tego przywiązany, a trudne położenie jego odczuwający, żywy brał udział we wszystkiem, co nas bolało i radowało, nie szczędząc światłej rady i inicjatywy, gdzie tego uznał potrzebę i możność.

Jako książę Kościoła, dzierżył zawsze wysoko sztandar wierności Stolicy Piotrowej, dając życiem swem duchowieństwu wzór gorliwej pracy pasterskiej, oraz przykład żarliwej troski o oświecanie i umacnianie w wierze, oddanej jego pieczy owczarni.

Jednym z wyrazów pracy w tym zakresie jest szereg świątyń, jakie za jego staraniem lub inicjatywą powstały; wystarczy wyliczyć wzniesione w Warszawie za jego rządów kościoły: św. Florjana na Pradze, św. Augustyna przy ul. Dzielnej, śś. Piotra i Pawła na Koszykach, św. Stanisława na Woli, wreszcie będący na ukończeniu kościół Zbawiciela. W archidjecezji zbudowano w tymże czasie więcej, niż dwa dziesiątki nowych świątyń Pańskich.

Pobieżny ten rys bjograficzny zmarłego Dostojnika Kościoła zakończymy przytoczeniem słów ze źródła wyżej już wspomnianego: „arcybiskupowi warszawskiemu nie poczyta za winę potomność tego, czego nie był w stanie dokonać, ani tego, czemu nie potrafił zapobiedz; będzie ona niechybnie pamiętać, iż był on tylko człowiekiem, i że to tylko mógł zdziałać, co w ludzkiej było mocy.

W sprawie turystyki

(Ankieta „Wsi i Dworu").

Sprawa, którą poruszyć zamierzamy, uzasadnienia nie wymaga. Znajomość swej ziemi, swego i swoich jest nietylko obowiązkiem obywatelskim, ale koniecznością, jest potrzebą, jest dorobkiem duchowym i materjalnym.

A ziemię mamy piękną! Szczyty tatrzańskie, krakowskie wzgórza, bory i puszcze Litwy, polany lubelskie, jeziora augustowskie! Dzwonią po niej wichry stepowe i poleśne echa wspomnieniami zawodzą.

Tylko poznać Ukochaną, całą, żadnego zakątka nie minąć!

Ankieta nasza ma być ku temu serdeczną pobudką.

Dzięki uprzejmej zabiegliwości naszego współpracownika a delegata „Krajowego Związku Turystycznego" p. Mr. I. A. Koperskiego, rozpoczynamy ją głosami wybitnych członków tego, zasłużonego już na polu turystyki stowarzyszenia, głęboko przeświadczeni, że przyczynią się one do oświetlenia poruszonej sprawy, poddając środki i sposoby najskuteczniejszego jej ucieleśnienia.

Redakcja.



J. E. minister dla Galicji Władysław Długosz.

Głos J. E. ministra dla Galicji, Władysława Długosza.

Żądasz Pan, Panie Redaktorze, abym Panu wypowiedział moje zdanie o powodach słabego rozwoju ruchu turystycznego w naszym kraju i podał środki, którychby użyć należało, aby kraj nasz stał się więcej jak dotychczas celem podróży i wycieczek. Oto garść moich uwag: Jeżeli usiłowania, aby do Galicji zaciągać tłumnie cudzoziemców, Anglików, Amerykanów, Francuzów, nie tak prędko dadzą się zrealizować, to niech przynajmniej *starania nasze będą uwieńczone tym skutkiem, aby rodacy nasi ze wszystkich ziem polskich dawali pierwszeństwo naszym zdrojowiskom i miejscom klimatycznym przed obcymi „Badami i „Kurortami"*. Niezaprzeczenie kraj nasz z całej Polski najwięcej posiada prześlicznych krajobrazów tak często opiewanych przez naszych poetów, mogących iść w zawody z najpiękniejszemi okolicami alpejskiemi, posiada wspaniałe szczyty Tatr, przepiękne Pieniny, opasane wstęgą słynnego Dunajca i urocze, lasami okryte podgórza Karpat i Beskidów, wzdłuż południowej granicy. Tu też rozmieściła natura cały szereg znakomitych zdrojów leczniczych, które uczynićby mogły z naszych zdrojowisk punkta zborne dla naszych rodaków i przyczynić się do podniesienia ducha narodowego, do wzajemnego poznania się i zbliżenia.

Jak nam daleko do tego upragnionego celu! O rozwoju naszych zdrojowisk i miejsc klimatycznych decydują przedewszystkiem warunki ekonomiczne naszego kraju. Dopiero przemysł silnie się rozwijający może wyrobić w nas ten zmysł kooperacyjny i zaufanie w nasze siły, które są podstawą powodzenia każdego przedsiębiorstwa. Żadne przedsiębiorstwo może nie wymaga bowiem tak skomplikowanych zabiegów i tak wielkiego nakładu kapitałów jak prowadzenie zakładów leczniczych, które stanąć muszą na wyżynie dzisiejszych wymagań hygieny, wygody, a także i estetyki. Pod tym względem zakłady nasze pozostawiają jeszcze bardzo wiele do życzenia. Najwięcej trudności sprawia u nas dostosowanie tych wszystkich nieodzownych wymogów do powoli się podnoszącego dobrobytu warstw średnich naszego społeczeństwa. *Z zadowoleniem przeto powitać należy inicjatywę „Krajowego Związku zdrojowisk i uzdrowisk" w kierunku stworzenia instytucji finansowej,* która naszym zakładom dostarczyć będzie mogła potrzebnego kapitału zakładowego i obrotowego. Przy odpowiedniej pomocy naszego społeczeństwa, instytucja ta znacznie rozszerzyć się może i usunąć dzisiejsze niedomagania naszych zakładów leczniczych, które są przyczyną słabej ich frekwencji. Społeczeństwo nasze powinno solidarnie akcję tę Związku poprzeć, a wtenczas i Rząd, skoro będzie widział, że czynniki krajowe wdrożyły na solidnych podstawach opartą akcję dla podniesienia naszych miejsc kuracyjnych, niewątpliwie i ze swej strony przyczyni się w swoim zakresie działania do podniesienia ruchu obcych do Galicji, np. przez udzielenie wydatniejszych subwencji na cele reklamy zagranicą, przez materjalne poparcie wydawnictw i czasopism poświęconych naszej turystyce i t. p. Poruszano u nas często potrzebę większej reklamy, a brak jej uważano za główny powód, że nasze piękne okolice tak mało są zagranicą znane. Reklama jednak tylko wtedy będzie środkiem skutecznym, jeżeli obcy tą reklamą zwabiony, znajdzie to wszystko, co zachwalane, a w obecnych stosunkach, braki najprymitywniejszych często warunków wygody i hygieny w naszych zakładach zdrojowych i miejscach klimatycznych, mogły tylko działać odstraszająco.

Akcja Kraj. Związku Turystycznego na polu popierania turystyki i ruchu obcych, powinna być bardziej jednolitą. Im więcej nasze powołane czynniki siły i środki skupią i złączą, tem więcej potrafią uzyskać. Zdaje mi się więc, że





J. Ex. Marszałek Galicji hr. A. Gołuchowski Prezes Koła Polskiego w Wiedniu hr. Juljusz Leo.
(Gorliwi opiekunowie Kraj. Związku turystycznego).

łączenie się i wspólne postępowanie *naszych związków turystycznych i zdrojowych* stanowi bodaj czy nie pierwszy warunek stanowczego kroku naprzód w rozwoju ruchu podróżnego i turystycznego, a przeto także ekonomicznego rozkwitu pięknych okolic Galicji.

Powinniśmy także dążyć do tego, aby najszerszym warstwom naszego społeczeństwa ułatwić zwiedzanie najpiękniejszych części naszej ziemi. Turystyka nie powinna być przywilejem tylko warstwy zamożnej. Zdemokratyzowanie jej miałoby doniosły cel narodowy i etyczny, byłoby środkiem odmłodzenia ducha, wzmocnienia nerwów, tej części naszego społeczeństwa, która potrzebuje wytchnienia i pokrzepienia po ciężkiej jednostajnej pracy w walce o byt codzienny. Byłby to znakomity środek do podniesienia etycznego naszego społeczeństwa i obudzenia w nim zamiłowania do natury, wyrobienia hartu ducha i przywiązania do ziemi ojczystej. W innych krajach zamiłowanie do turystyki objęło już warstwy rękodzielnicze i robotnicze. Z tych względów jestem gorącym zwolennikiem ułatwienin dostępu do naszych Tatr i uważam projekt budowy kolejki z Zakopanego na Świnnicę za wszechgodny poparcia. Kolejka ta, która zdaniem mojem, nia popsułaby wrażenia olbrzymich szczytów tatrzańskich, bo byłaby ledwo dostrzegalną, a pędzona elektrycznością nie zmąciłaby spokoju turni i wierchów, umożliwiłaby tanim i wygodnym sposobem szczególnie tym, którzy fizycznie nie mogą sprostać trudom wspinania się na skały, rozkoszowanie się przepiękną panoramą tatrzańską. Kto stanie na szczycie Świnnicy i okiem obejmie las potężnych szczytów, kto odetchnie całą piersią przeczystem górskiem powietrzem, ten zaliczy tę wzniosłą chwilę do najpiękniejszych wspomnień swego życia i tem silniej ukocha kraj ojczysty. Dotychczas jednak znikoma garstka tylko mogła oddawać się tym wrażeniom.

Piękność natury nie są jedyną atrakcją dla obcych w naszym Kraju. Turystę przejeżdżającego do Galicji, wita nasz *stary gród wawelski* ze swoimi zabytkami wspaniałej naszej przeszłości, dzieła architektury i sztuki, świadczące o wysokości dawnej polskiej kultury. Opodal Krakowa żupy solne wielickie i podziemne miasto solne muszą w podziw wprowadzić nawet i tego, który widział już rozmaite cudy świata.

Wrażenia moje z wycieczki, którą odbyłem przed kilkoma tygodniami z Ministrem robót publicznych do Galicji, opisałem w artykule w Wiedeńskim Tageblacie, rzucając kilka uwag o pięknościach naszego kraju i jego zabytkach historycznych. Mam nadzieję, że spostrzeżenia, które Minister robót publicznych, *jako kierownik akcji państwowej, dla popierania turystyki i ruchu obcych poczynił w Galicji, przyczynią się do skuteczniejszego poparcia wszystkich zabiegów krajowych czynników na tem polu.*

Droga odrodzenia ekonomicznego, którą kraj nasz obrał, wytworzy w społeczeństwie naszem zmysł organizacyjny i energię potrzebną do przeprowadzenia tego szlachetnego i wzniosłego celu.

Oby tak często do nas zastosowane przysłowie: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie" stało się tylko kronikarską reminiscencją. *Wł. Długosz.*

List ks. Adamowej Lubomirskiej.

Podniesienie ekonomiczne Galicji zależy od tylu przyczyn, które nie leży w naszej mocy, że z tem większą energją należałoby pomyśleć o wyzyskaniu tych danych które mamy, lub moglibyśmy mieć. W pierwszym rzędzie mamy olbrzymie bogactwa w zdrojowiskach tak różnorodnych, o których nauka stwierdziła, że są równie dobre, a niektóre o wiele lepsze od wszelkich niemieckich Badów. Zkąd że pochodzi, że tak leniwo się nasze zdrojowiska rozwijają, że publiczność ciągle się odwraca od krajowych zakładów a dąży do zagranicznych?

Większa część krytyki spada u nas zwykle na publiczność; zarzucają brak patrjotyzmu, solidarności etc. Zdaje mi się, że tu stoimy w sednie wymagań niesłusznych i nielogicznych, dyktowanych nerwami, fantazją, a nie rozsądkiem i jasnem zastanowieniem się nad sytuacją — trudno właściwie żądać, aby człowiek chory, potrzebujący leczenia, od którego zależy nieraz przyszłość jego, a czasami i licznej rodziny, kierował się względami, tak zwanemi patrjotycznemi i zamiast wygodnego mieszkania, dobrej zdrowej kuchni, za umiarkowaną cenę, ponosił trudy i niewygody, które w czasach wojen ze szwedami byłoby się może zniosło z rezygnacją, ale w XX wieku przez nikogo cywilizowanego tolerowane być nie mogą.

Trzeba się dobrze nad tem zastanowić, że dawanie ludziom za ich pieniądze, to co im się słusznie należy nie ma nic wspólnego z patrjotyzmem, a owszem fałszywie pojętą miłością kraju jest popieranie niedołęstwa, lenistwa, braku ambicji, energji, obowiązkowości pod płaszczykiem, że to „nasze“ — „nasze“ znaczyłoby mojem zdaniem: lepsze, dzielniejsze, mądrzejsze, sumienniejsze od zagranicy — nie trzeba się rządzić neurasteniczną czułostkowością, dla „naszych“ wad, które są przecież osią tych wielu smutnych i niedobrych rzeczy, jakie się u nas dzieją.



Dr. Ludwik Schneider
(wice-prezes Krajowego Związku Turystycznego).

Podstawą podniesienia się naszych zdrojowisk, jest urządzenie tychże na wzór europejskich — bez zbytków, ale z czystością, ładem, porządkiem w każdym kierunku, a na to potrzeba ludzi zawodowo wykształconych, praktycznie myślących i działających, odpowiednio wyszkolonych, a nie amatorów i dyletantów, którzy, mimo najlepszej woli i wysiłków moralnych i materjalnych, muszą i czas i mienia tracić, bo — nie umieją swego fachu. Hotele, — w zrozumieniu europejskim u nas nie istnieją — nie mam tu na myśli „Edeny“, „Palacy“, „Regina“, bo nie mamy miliarderów, którzyby za takie zbytki — zresztą zupełnie niepotrzebne — płacili, ale hotele skromne a wygodne, pokoje czyste o drzwiach nie przewiercanych, z łazienkami, centralnem ogrzewaniem i światłem elektrycznem, a zwłaszcza z zarządem fachowym i służbą wyszkoloną — co do tych ostatnich dwóch punktów, to myślę, że one właśnie zawierają w sobie powód całej naszej nędzy hotelowej, o której się ciągle słyszy, dotkliwie przykre, a niestety słuszne uwagi.

Tyle u nas talentów, zdolności, a tak mało jasnego, zdrowego zapatrywania i odczucia sprężyn życiowych.

Ciągle jeszcze przeważa zdanie, że się można „wszystkiego nauczyć, jeżeli się chce“, bez odpowiedniego wykształcenia, bez fachowych wiadomości — to też widzimy skutki tych ciągłych prób, tego królowania dyletantyzmu we wszystkich kierunkach.

Zrzućmy raz pychę z serca, i przyznajmy, co nam zresztą ujmy nie przynosi, że się zupełnie nie rozumiemy na urządzaniu i prowadzeniu hoteli, sanatorjów, tych właśnie instytucji, bez których, i to wzorowo urządzonych, nie można nawet marzyć o rozwinięciu się turyzmu u nas, o napływie cudzoziemców, których pieniądze tak bardzo by się zdały naszemu biednemu Krajowi—a więc równocześnie sprowadzić kilku szwajcarskich hotelarzy do Kraju, a z drugiej strony tworzyć stypendja, z wydziałem krajowym na czele, i wysyłać młodzież męską i żeńską na naukę do Szwajcarji (Lucerna, Schweiserische Hotel-Schule).

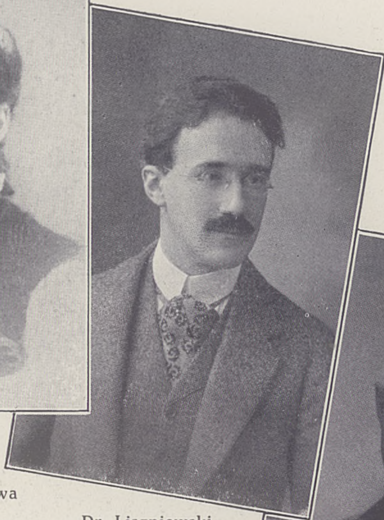
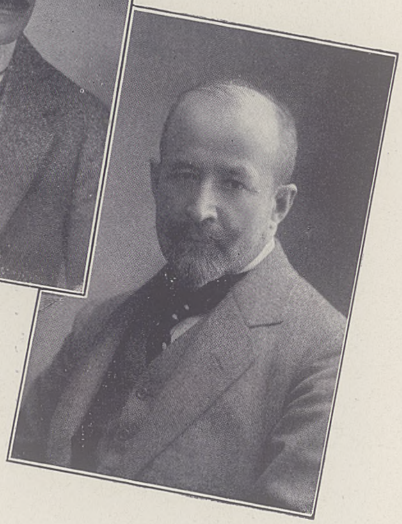
Szwajcarja ma wzorowo urządzone szkoły dla wszelkich stopni urzędników hotelowych, dlaczego by się nasza młodzież, zwłaszcza żeńska, tam nie udawała, aby gruntownie i fachowo nauczyć się prowadzenia hoteli mniejszych i większych? Jaki byłby to odpowiedni zawód dla kobiet, ile by sobie oszczędziły ciężkich lat walki, krwawej pracy dla zdobywania stopni naukowych, wartości nieraz bardzo wątpliwej dla zapewnienia egzystencji. Znaczniebу się więcej taką pracą praktyczną krajowi przysłużyły, jak trzymaniem się jednostronnem tylko karjery urzędniczej lub uniwersyteckiej.

Podniesienie ekonomiczne kraju, przedewszystkiem od kobiet zależy, niech się wezmą do pracy zawodowej na polu gospodarstwa — niech mleczarstwo zorganizują, tak jak w Danii i Szwecji, niech pracują fachowo w hotelach, restauracjach i t. d., a olbrzymie zasługi oddadzą krajowi i społeczeństwu. Nie spuszczajmy się na innych, a same działajmy, nie czekajmy na poparcia z góry, które nigdy nie przyjdą, ale same pracujmy — nie wstydząc się żadnej pracy, bo wszystkie są równe, jako wartość moralna, a tak zwane podrzędniejsze, są często o wiele pożyteczniejsze dla kraju i społeczeństwa, niż bardzo górnolotne.

Zdrojowiska nasze, są jak owa winnica Pańska, która na robotników czeka — miejmy nadzieję, że się nareszcie znajdą, że przyjdą pracownicy dzielni, pracowici, którzy te odłogiem leżące skarby potrafią wyzyskać i zorganizować dla dobra społeczeństwa i kraju.

Wiedeń, 2 XII 1912. *M. ks. Lubomirska.*



Anna Neumanowa

Dr. Alfred Wysocki Dr. Liszniewski

(zasłużeni członkowie „Krajowego Związku Turystycznego").

Mr. I. A. Koperski Prof. Leopold Jaworski

Organizacja turystyki.

Ruch podróżnych w nowożytnych ogniskach turystycznych oddawna przestał być objawem samorzutnym swobodnego wyboru pasażerów, zmieniających miejsca pobytu dla zyskania nowych wrażeń, poznania pięknych okolic, ciekawych grup etnograficznych lub zabytków architektury i skarbów sztuki.

Turystyka uległa, podobnie jak cały szereg innych objawów życia społecznego, pewnej reglementacji, ujętej przez dwa czynniki, interesowane w coraz dalszym jej rozwoju. Przedewszystkiem wystąpiły z celową działalnością reklamową wszystkie owe liczne przedsiębiorstwa zarobkowe, których byt i zysk związany jest ściśle z napływem obcych podróżnych. Hotele, pensjonaty, zajazdy, restauracje, kawiarnie, widowiska wszelkiego rodzaju, przedsiębiorstwa przewozowe i wycieczkowe i t. p. rozwinęły w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu ów olbrzymi aparat reklamowy, którego projekcje uderzają oko podróżnego nieomal w ciągu każdej chwili jego pobytu po za ogniskiem domowem. Wagony kolejowe, dworce, słupy reklamowe, gazety i czasopisma, projekcje świetlne i kinematograficzne, szyby wystawowe, ba, nawet urocze zakątki i krajobrazy tętnią echem stugębnej reklamy, nęcąc nowożytnego turystę bogactwem i doborem wychwalanych korzyści. Oczywiście, iż reklama turystyczna nie gardzi też działami cięższego kalibru. Coraz wspanialej wydawane przewodniki i opisy, barwne reprodukcje, kompletne wystawy, odczyty, wykłady i t. p. uzupełniają tę skomplikowaną działalność reklamową, której koszta sięgają setek miljonów, stanowiąc źródło utrzymania i obfitych zarobków kilkudziesięciu gałęzi przemysłu i handlu.

Nie na tem jednak koniec. Nowożytny organizm państwowy ze swą daleko idącą socjalizacją, wyciągnął dłoń opiekuńczą także nad ruchem turystycznym.

W masowej wędrówce zamożnej publiczności zagranicznej odkryto nowe a cenne źródło znacznych dochodów, użyźniających bilans gospodarczy państw o niskim stanie ekonomicznym, a wybitnych pięknościach przyrody i atrakcjach dla ruchu podróżnych.

Jest to dowodem pewnej modernizacji naszego ustroju administracyjnego, że Austrja kroczy bodaj czy nie na pierwszem miejscu wśród organizmów państwowych, opiekujących się oficjalnie turystyką. Oczywiście, że kierownicza rola ministerstwa kolei oraz ministerstwa robót publicznych występuje u nas dlatego tak silnie na pierwszy plan opieki nad turystyką, że czynniki autonomiczne, wydziały krajowe i miasta, nie okazują owej ruchliwości i energii w propagandzie turystycznej, jaką obserwować możemy z tak dobrym skutkiem we wielkich środowiskach ruchu pasażerskiego Europy.

Najważniejszą rolę w dziedzinie celowej pracy reklamowej i propagandy, odgrywają jednak analogicznie, jak na wielu innych polach samopomocy społecznej, organizacje dobrowolne, pracujące z większą elastycznością i ruchliwością od ciężkiej maszyny biurokratycznej. Organizacją taką jest w Galicji *Krajowy Związek Turystyczny* z siedzibą w Krakowie, zawiązany w r. 1906.

Uzupełniając pracę całego szeregu innych zrzeszeń i związków o podobnym charakterze, ma Związek Turystyczny za cel jedno poważne zadanie: przyczyniać się stałą i usilną agitacją do zwiększania liczby turystów zagranicznych, przyjeżdżających do naszego kraju, zachęcać ich przez ulepszanie naszych urządzeń podróżnych do dłuższego pobytu w naszych letniskach, uzdrowiskach, miejscach wycieczkowych i miastach, jednem słowem, wpływać przez ściąganie publiczności zagranicznej na nasz bilans płatniczy, w którego rubrykach zysk z pobytu obcych istotnie coraz donioślejszą odgrywa rolę.

Według obliczeń przybliżonych wynosi obecnie zysk Galicji przysporzony przez turystów zakrajowych rocznie około 10,000,000 kor.; sam Kraków gościł u siebie w ciągu roku 1911-go okrągło 100,000 obcych, między nimi około 40,000 z poza granic państwa, a przyczynek ich na korzyść bilansu gospodarczego miasta zaznaczył się kwotą co najmniej 2,000,000 kor.!!

Z dumą wyznać możemy, że Galicja posiada pierwszorzędne piękności i osobliwości przyrody oraz cenne skarby sztuki i zabytki historyczne, przedstawiające prawdziwą atrakcję dla zwiedzających. Słynne na całą kulę ziemską i jedyne w swym rodzaju saliny wielickie, niesłychanie ciekawe

pola naftowe z setkami kopalń ropy w okolicy Drohobycza i Borysławia, nowo otwarte i świetnie urządzone, a najmłodsze w Europie kopalnie węgla kamiennego w Zagłębiu Krakowskiem, oto pierwszorzędne walory także i pod względem gospodarczym, a równocześnie środowiska, ściągające tysiączne tłumy obcych interesantów do Kraju.



Na Wołowcu.

Dzisiaj prym dzierżą wśród miejscowości galicyjskich rozgłośne już i poza naszemi granicami letniska i uzdrowiska, jak Zakopane, Krynica, Rymanów, Żegiestów i t. d. Słynne z piękności Pieniny w zachodniej, urocze Beskidy we wschodniej części Kraju, czekają jeszcze na przypływ złotodajnej strugi obcych.

Dla podniesienia i udogodnienia wszystkich tych kategorji podróży publiczności pozakrajowej, działa Związek turystyczny od chwili swego powstania ze znacznym nakładem sił i środków materjalnych.

Biuro kolejowe i informacyjne w pierwszorzędnym punkcie miasta pomieszczone, przez Związek znacznym sumptem utrzymywane, 12 jak dotąd, wydawnictw przewodnikowych ozdobnych, w języku polskim, niemieckim, francuskim, angielskim w ogólnej liczbie 53,000 egzemplarzy, cały szereg artykułów turystycznych, zwykle bogato ilustrowanych, pióra powołanego, pomieszczonych w pierwszorzędnych czasopismach ilustrowanych Europy, a i Ameryki — bogate materjały zebrane i nieprzerwanie uzupełniane, turystyki, pomników historycznych i sztuki się tyczące, zbiór zdjęć fotograficznych i kinematograficznych z całego kraju do postanowionych już publikacji w formie broszur, przewodników, albumów, widokówek, poważnych reklamowych artykułów w czasopismach obcych i t. d. i t. d. — wszystko to świadczy o dotychczasowej energicznej, celu świadomej, duchem patrjotycznym przejętej działalności Związku, tylko granicami przez budżet roczny zakreślonemi miarkowanej i powstrzymywanej.

Jest to dowodem wzmagającego się zainteresowania obcych naszym krajem i zmiany zapatrywań o stopniu naszej kultury, że zjazdy naukowe i fachowe z całego państwa, a i kongresy światowe coraz częściej odbywają się w murach naszych miast. I tu działalność Związku naszego okazała się skuteczną, a nawet wybitną.

Liczne i ważne są zadania, jakie Krajowy Związek Turystyczny w przyszłości spełnić zamierza. Brak mu tylko obfitszych środków materjalnych, brak współdziałania ze strony ogółu. Oby szerokie warstwy społeczeństwa w zrozumieniu własnych korzyści przyczyniały stę do powiększenia szczupłej obecnie liczby członków Związku, a tem samem poparły akcję dla dobra Kraju i każdej jego części podjętą. *Mr. I. A. Koperski delegat „Kraj. Związku Turystycznego“.*



Na długim upłazie.



W salonie mody.

O MODZIE.

Autoreferat Józefa Langego.

Najmniej zajmują nas zazwyczaj rzeczy nam najbliższe, wypełniające życie powszednie.

Przeważnie wyobrażamy je sobie, jak na scenie, w chwilach wielkich zdarzeń, potężnych wzruszeń, podniosłych czynów lub przerażających zbrodni.

Na ich podstawie tworzymy sobie obraz istnienia ludzkości.

Starożytnego rzymianina wyobrażamy sobie zawsze, jako wspaniałego obywatale, który na *forum romanum* radzi o dobru rzeczypospolitej; średniowiecznego rycerza widzimy w lśniącej zbroi, spieszącego na bój lub zdobywającego laury na turnieju; a „wielki świat“ XVIII wieku, staje nam przed oczami w wytwornych swych salonach, w rozmowie dowcipnej, lekkiej, obracającej się około najzawilszych zagadnień filozoficznych i społecznych.

Zapominamy, że jednak ci ludzie po za temi chwilami wyjątkowemi żyli też życiem powszedniem, zaspakajaniem codziennych potrzeb, drobnemi czynami i namiętnościami. W nich to najlepiej, a może jedynie uwydatnia się charakter, dążności wewnętrzne, najgłębsza treść duszy ludzkiej.

W szarem codziennem życiu człowiek jest, jakby w negliżu.

Nikt nie jest wielkim dla swego lokaja, jak się ktoś wyraził.

Na wielkie chwile człowiek stroi swoje czyny, swoje słowa, tak jak światowa dama stroi się na bal.

Wielkie czyny i słowa są czasami rzeczywistym wyrazem duszy, często jednak, człowiek, jak powiada Szekspir popełnia czyn po nad swoją miarę.

Życie powszednie wszakże wydobywa na wierzch jego drobne podłostki, jego miłostkowe pragnienia i myśli, i jest niewątpliwie niemało wielkich i podziwianych ludzi, którymi gardzi tylko własna żona, bo ona najlepiej zna rzeczywistą wartość swego męża.

I społeczeństwa, i narody mają takie swoje życie powszednie, te drobne sprawy i czynności, któremi tak mało zajmuje się właściwa historja.

Do takich spraw drobnych należy moda.

Wszyscy jej ulegają, mało kto bada.

A jednak jest to mała, kapryśna zdrajczyni, która podpatruje tajemne drgnienia duszy zbiorowej i pokazuje nam sto pobudek wielkich wypadków dziejowych, ich treść rzeczywistą, pokazuje nam ludzkość, nie w odświętnym stroju, ale w negliżu.

Oto dla czego moda jest zjawiskiem bardzo ciekawem i dla czego zająłem się jej badaniem.

Pomimo to, że moda wchodzi za przedmiot nie poważny, przystąpiłem do jej badania, odrzuciwszy wszelkie uprzedzenia, które łatwo zbudzić mogą drwiny i szyderstwa, z któremi moda prawie wyłącznie się spotyka. Nawet w piśmiennictwie najczęściej pisze się „o głupocie mody“, rzadziej szuka jej wewnętrznego sensu. Ale, czyż można zadowolić się jakimś nieszkodliwym wyrazem potępienia wobec zjawiska tak powszechnego i potężnego.

Bo moda jest i powszechna i potężna.

„Bezwzględna ta władczyni“ pisałem w swem studjum wciska się wszędzie: nie zadawalając się władzą nad naszą istotą fizyczną, opanowuje nasz mózg i serce, tworzy prawa

nie tylko dla naszej odzieży, ale i dla wewnętrznych objawów naszych myśli i uczuć. Obok fryzur i kapeluszy moda narzuca nam dzieła pewnych artystów, wiersze pewnych poetów, teorje pewnych filozofów.

Rousseau był modny, jak robrun, a Schiller, jak krynolina. Ludzie kochali się kolejno sentymentalnie à la Werther, romantycznie à la Byron, uczenie à la Baudelaire.

Moda ogarniała i ogarnia wszystko: nie obroniła się przed nią ani religja, ani sztuka, ani filozofja, ani polityka.

Strojna dama zapytuje mody nietylko o to, jaką ma włożyć suknię i jak ufryzować włosy, ale takie w co ma wierzyć, czem się zachwycać, co potępiać".

Moda wciska się wszędzie, pomimo to, że nigdzie nie przyjmują jej życzliwie.

Zwycięztwo wszakże jest zawsze po jej stronie.

Wyszła ona obronną ręką z walk, które wytaczały jej wszystkie religje i wszystkie prawodawstwa; przeszła z tryumfem przez bicze wszelkich możliwych drwin, satyr i karykatur nie ugięła się ani przed rozwojem wiedzy, ani przed wzrastającą potęgą ducha ludzkiego, ani przed ideałami społecznemi naszych czasów.



Suknia wizytowa (model paryski).

Kroczy dziś, jak przed wiekami potężna władczyni świata cywilizowanego w niebywałym przepychu sił i blasku".

Bo moda to potęga, którą jej daje i nasza organizacja duchowa, i nasza organizacja społeczna.

Moda, w jakiejkolwiek dziedzinie, czy to będzie ubranie, czy stosunki towarzyskie, czy gry i zabawy, czy nawet, żałoby i pogrzeby, w ścisłym znajduje się związku z całokształtem myśli, uczuć i dążności swej epoki. Moda nie jest objawem przypadkowym i dowolnym, nie jest objawem kaprysu czy twórczości jednostek, ale wypływa z ducha swego czasu.

W tem właśnie tkwi jej siła, w tem jej znaczenia szukać należy. Ustalenie tego znaczenia stanowi właśnie przedmiot mego studjum „O modzie", pierwszego, o ile mi wiadomo, w języku polskim, chociaż w piśmiennictwach zagranicznych pierwszorzędne powagi naukowe poświęcały jej swe pióro, że wymienię choćby Tarde'a, Spencera, Simmela, Sambarta, Kleinwächtera, Vischera i innych.

To pozorne głupstwo, moda, ma tak głębokie korzenie w życiu, że nie łatwo ją zwalczyć.

Świeży przykład szlachetnych usiłowań, opartych jednak na nieznajomości istoty mody, dał jeden z tygodników kobiecych, nawołujący kobiety ze sfer średniozamożnych do skromności w stroju.

Zapewne, było by to możliwe, gdyby z góry, ze sfer zamożnych, przyszła moda skromności.

Były czasy, kiedy królowa Marja Antonina w Trianon nosiła perkalową suknię, a cały wielki świat francuzki bawił się w zwyczaje pasterskie.

Ale nie przypuszczam, aby dzisiaj, w epoce wielkiego zbytku, którego źródła szukać należy według mnie w miliardach amerykańskich, rozsiewanych w Paryżu na stroje przez ich posiadaczki, można było znaglić kobiety średniozamożne do powściągnięcia naśladownictwa kobiet bardzo zamożnych, co stanowi istotę mody.

Życzę z całego serca powodzenia szlachetnej inicjatywie, ale obawiam się, że potęga mody ją przemoże, bo tak samo jak na początku XVII wieku, tak i dzisiaj, *mutatis mutandis*

Sprzeciwia się paniątko bogatszemu panu,
A ziemianin panięciu nad się bogatszemu,
Szlachcic chudy chce też mieć, jako i ziemianin,
A z szlachcicem zarówno chce też mieć mieszczanin...

jak pisał Piotr Zbilitowski. A czy od 1650 r. uległy zmianie „zepsowane stanu białogłowskiego obyczaje", czyż dziś nie tak samo jak i wtedy, według zgryźliwej satyry Krysztofa Opalińskiego:

Jednakie: bogata, uboga,
I w jednej sworze chodzą! bo ta, która chuda,
Sprzeciwia się dostatniej, choćby się i spękać
Mężowi, musi dla niej być. Aleś szlachcianka
Prosta, nie sprzeciwiaj się wielkim senatorkom...

Jest wielu zapewne, co powiedzą, że to naśladownictwo jest nieszlachetne i niemądre, ale ono jest i stanowi siłę.

Moda, i w dziedzinie strojów, i w dziedzinie zwyczajów towarzyskich, i wszędzie, gdziekolwiek się wciskała, wnosiła często do życia niewygody, brzydotę, nonsensy.

Ale pomimo to, było ciągle i jest potęgą.

Ci, którzy rzucają w stronę mody wyrazy drwin lub potępienia, nie zdają sobie sprawy z jej ścisłego związku z życiem.

Zapewne ono nie jest tak mądre, jak mógłby je zorganizować indywidualny umysł mądrego człowieka. Ale życie nie jest przetworem logiki i rozumu.

Moda, lepiej, niż jakikolwiek inny objaw społeczny, uwydatnia tę prawdę.

I dla tego nie potępiajmy zbyt pochopnie mody, bo jest ona tylko *enfant terrible*, które zdradza nasze tajemnice, jest przedewszystkiem odbiciem, czasem wprawdzie w formie karykaturnej, naszych myśli, uczuć i dążności.

„Oskarżając mody o głupotę, pisałem w zakończeniu swego studjum, musielibyśmy całe życie ludzkości uznać, że głupstwo i dosłownie przyjąć zdanie Renan'a, że historja jest nieustającym skandalem, lub Scherr'a, że historja jest i będzie stekiem niedorzeczności.

Wszystkie potępienia zarówno historji, jak i mody, są wynikiem nieporozumienia, pochodzącego stąd, że historja ma swoją logikę odrębną od naszej logiki indywidualnej, a my tę ostatnią przeważnie mierzymy zjawiska dziejowe. Nie znamy jeszcze praw życia społecznego, narzucamy więc im swe konstrukcje umysłowe, gniewamy się, gdy życie ich nie słucha, obrzucamy je obelgami.

Jest to gniew dziecka, które nie umie wprawić w ruch zabawki.

Taki właśnie gniew wzbudza moda".

Nie lekceważyłem jej jednak, jak inni, ale bardzo skwapliwie skorzystałem z jej plotkarstwa, aby sięgnąć do głębi spółczesnych prądów społecznych.

Dowiedziałem się od niej bardzo dużo. Wprowadziła mnie ona „w sam środek najżywotniejszych zagadnień XX stulecia, pokazała mi te potężne, odwieczne dążenie do równości, które ona nie tylko wyraża, ale popiera i potęguje, pokazała mi walkę teraźniejszości z przeszłością i ich ścisły związek, walkę swojskości z obcością i jej łagodniejące formy, pokazała mi wreszcie swe tryumfujące oblicze na tle swojskiej tradycji".

Sądząc, że znajdę naśladowców, którzy zechcą zagłębić się w tajniki duszy narodowej pod przewodnictwem tej figlarnej i kapryśnej istoty, która ma jeszcze dużo do powiedzenia, a, że jest gadatliwa, chętnie zwierza się ze wszystkich swoich i cudzych tajemnic.

Wszystkiej Wsi naszej, Dworom i Chatom przesyłamy z głębi serca życzenia Wesołych Świąt! Do siego roku!

Redakcja „Wsi i Dworu".


M. MANKIELEWICZ
WARSZAWA
Brylanty Perły Rubiny
Szafiry Szmaragdy
Złoto Srebro
ST. HANKIEWICZ

„PAŁAC LODOWY".

Tuż przy pryncypalnej ulicy, Nowy Świat, na tyłach posesji hr. Kossakowskich, dźwignęły się w górę mury, związały w łuki arkad, wspierając monumentalne sklepienie gmachu *„Pałacu lodowego"* — *„Palais de Glace"* — który ucieleśnił w sobie przedsięwzięcie nawskroś modernistyczne, zbogacając Warszawę o jedną więcej atrakcję europejskiej miary.

Pałac lodowy służy nie jednemu wyłącznie celowi, przeciwnie, łączy w sobie całą grupę przedsiębiorstw, jako to: teren lodowy, salę balową, restaurację i kawiarnię, fabrykę lodu sztucznego, chłodnie dla kupców, wreszcie centralną stację elektryczną dla wszystkich budowli objętych bezpośrednio przylegającym doń kwadratem.

Sport i hygiena, zabawa i wytwórczość znalazły tu wspólny teren rozwoju.

Sztuka, architektura i technika zjednoczyły się w tej budowli, aby święcić wspaniały tryumf, który podziela przedewszystkiem inż. Stefan Szyller wraz z kierownikiem technicznym inż. A. Słuckim.



W październ. r. 1911 został położony kamień węgielny pod budowę gmachu—w listopadzie r. 1912 pałac otworzył swe podwoje dla publiczności. Koszt budowy pałacu lodowego wyniósł około miljona rubli prywatnych kapitałów przedsiębiorstwa.

W przeciwieństwie do zasady, którą się kierują wszelkie efemeryczne przedsiębiorstwa, w krzyczącej zewnętrzności szukające reklamy, pałac lodowy w skromnej elewacji zewnętrznej zamknął wnętrzną treść wyszukanego komfortu i wygody.

Szerokie, ozdobne podwoje wiodą do przedsionka, gdzie po obu stronach rozmieszczone są kasy. Naprawo obszerna, wygodna szatnia w stylu Ludwika XIV wita gości pałacu wesołem, jasnem światłem żyrandoli ze szkła mrożonego. Stąd otwiera się widok na główną ubikację pałacu — na teren lodowy.

Zwierciadlaną taflę lodu, ogromną, bo mającą około 1500 m. kw. powierzchni, okala lekka kolumnada, związana półkręgami sklepienia promenuarów galerjowych. Tysiące gwiazd-lampek elektrycznych, niby świetliste girlandy rysują płomienne kontury arkad na tle pompejańskiej czerwieni wewnętrznych ścian pałacu. Nad muszlą dla orkiestry, witraż nieznanej u nas wielkości, prześwietlony za pomocą zewnętrznych reflektorów roztacza ponad lodowcami promienny cud zorzy północnej. Wokoło sali górą, w medaljonach między lunetami okien, pełne rozmachu i brawury kolorystycznej, świecą zimowem słońcem obrazy sportowe. Z siedmiobarwnej tęczy lodowej posadzki strzelają ku górze płomienne kolumny, na nich spoczęły dwa błyszczące kręgi, dwa potworne węże, świecące łuską kosztownych tafli metalowych — dwie galerje wspaniałemi balustradami opierścieniają teren lodowy. Parter na służbę oddano Gambrinusa, gdy pierwsze piętro z przytulnemi lożami, z egzotycznym ogrodem palmowym amfiteatru wziął we władanie Bachus.

Teren restauracji to obie galerje, loże, egzotyczny amfiteatr, łącznie z salą balową i jej estradą. Wszelkie zdobycze techniki ma sobie ona oddanemi na usługi, więc: system tub do zamawiania, i wind do przesyłania potraw z sygnalizacją świetlną, zastępującą starodawny sposób obstalunku ustnego.

Gdy do niedawna, młodzież żądna sportu łyżwiarskiego czekać musiała zimy i zmiłowania zawodnego mrozu, dziś o każdej porze dnia i roku — bez względu czy mży deszcz marcowy, czy tropikalny upał lipca rozpala mury miasta — mają zawsze gładką, jak zwierciadło, taflę lodu, wabiącą do treningu i uciech sportu.

Bóstwo szczodrobliwe, władna moda, obdarza nadobne łyżwiarki i sprężystych łyżwiarzy wdzięcznymi kostjumami, które, na zamianę tualet spacerowych, oblekają w podziemnej szatni wygodnej, zaopatrzonej w szafki do wydzierżawiania stałym bywalcom pałacu, a przedewszystkiem u r o c z y m zwolenniczkom sportu łyżwiarskiego.

W godzinach między 10 a 1 berło władztwa nad torem ujmują w dłoń mistrzowie łyżwowania i balleryny, powiewny balet na łyżwach. Ledwie się prześnił, a z kolei wysoce komiczne sceny pantominy sportowej rodzą w audytorjum śmiech zdrowy.

Specjalna waga przywiązana została do wentylacji hali, która — przy współdziałaniu centralnego ogrzewania i zastosowaniu p o w i e t r z a s u s z o n e g o sztucznie i przesyconego ozonem — jest w możności nawet w czasie największego tłoku utrzymać czystość niemal idealną atmosfery pałacu. Instalacji rzeczonej, ogrzewalno-wentylacyjnej, dokonała firma inżynierska Jeziorański i Drzewiecki pod konsultacją inż. K. Obrębowicza. Nowością toru warszawskiego i krokiem naprzód w rozwoju sprawy sportu łyżwiarskiego na sztucznym torze lodowym jest urządzenie, nie dozwalające na tworzenie mgły nad ślizgawką.

Pałac lodowy nikogo nie urazi brutalnością formy lub barwy, bezmyślnością krzyczącego zdobnictwa; przeciwnie dąży do wdrożenia i utrwalenia w szerokich masach publiczności przekonania, że wdziękiem istotnym talentu jest spokój i powściągliwość. „Palais de Glace" w zupełności odpowiedział wysokim wymaganiom tak wybrednego, jak Warszawa miasta, twórcy zaś pałacu, J. Cynamon, Piotr Wertheim i Fr. Wiśniewski, sprostali zaszczytnemu zadaniu współdziałania w wielkomiejskim rozwoju postępowym naszego grodu. Jako obywatele zaś dali przykład innym przedsiębiorcom, że można najwspanialszą wznieść budowlę, wykwintnie ją przyozdobić i najwyszukańszym zaopatrzyć mechanizmem, korzystając jedynie ze źródeł dostawy krajowej; pałac lodowy stanął polskim kapitałem z krajowych jedynie materjałów i fabrykatów.

Widz.

Wspomnienia z lat ubiegłych.

(Dokończenie).

Oksiński z Zaborowskim objechali tylko oddział i, nic nie mówiąc, zawrócili. Porwała mnie szalona złość na nich, z rewolwerem w ręku za nimi pogoniłem, lecz nie zdołałem ich doścignąć. W porozumieniu z Chabriolem wydaliśmy polecenie tyralierom cofania się ku lasom i odstrzeliwania. Raden deptał nam po piętach. Cofaliśmy się w porządku z małemi stratami, lecz las się skończył i dzieliła nas znaczna przestrzeń pola od drugiego lasu. Zakomenderowałem „biegiem", żeby prędzej przebiedz tę przestrzeń, a dobiegłszy do lasu, oddział wstrzymałem, lecz znaczna część naszych tyralierów jeszcze nie nadciągnęła. Wtedy wyjąłem zegarek, mówiąc, że zatrzymamy się conajmniej dziesięć minut, dopóki tyraljerzy nie zbiorą się. Rosjanie obrzucili nas silnym ogniem kartaczowym, lecz nam szkody żadnej nie zrobili. Widząc już tyralierów zebranych, a z boku zajeżdżających nam drogę kozaków, wziąłem karabin od jednego z żołnierzy, pierwszy wystrzeliłem, zabiwszy białego konia, a oddział rozpoczął rotowy ogień. Widocznie Rosjanie obawiali się jakiejś zasadzki, bo wstrzymali pościg. Pomiędzy tyralierami zginął jeden dzielny młodzian, syn obywatelski, Marceli Starzycki, a my z Chabriolem, znalazłszy się na czele paruset ludzi, znów ruszyliśmy w lasy, nie zaczepiani przez nikogo.

W trakcie tego doszła mnie wieść, że Oksiński zakopał broń i rozpuścił swój oddział, a Zaborowski z kawalerją podążył na parę tygodni w stronę Galicji.

Ludzie Oksińskiego, którzy wypadkowo znaleźli się u nas, przeważnie Ślązacy, postanowili również się rozejść, pomimo zaklinań. Chciałem, aby nam zostawili chociaż swą broń, lecz oparł się temu jakiś podoficer, stanowczo mówiąc, że tego nie uczynią. Przystąpiłem więc do niego, przykładając mu do piersi rewolwer i grożąc: „Oddawaj broń, gdyż w prząciwnym razie zdziesiątkujemy was!" To najlepiej poskutkowało. Parę dni jeszcze krążyliśmy po lasach. Raz zrobiliśmy zasadzkę na furmanki kozackie, wiozące odkopaną broń Oksińskiego, lecz, na nieszczęście, skręcili o pół wiorsty od nas inną drogą i projekt spełznął na niczem.

Druga wyprawa także nam się nie udała. Mieliśmy za trębacza Czecha, dwudziestoletniego sprytnego chłopaka. Ten zwietrzył, że szosą, od Przedborza, idzie Czengiery z wielką siłą. Zapragnąłem sprzątnąć go. W tym zamiarze wybrałem kilkunastu strzelców i podążyłem z nimi ku drodze, wysyłając naprzód Czecha, z rozkazem doniesienia mi, gdy ujrzy powóz w bułane konie zaprzęgnięty, którym zwykł Czengiery jeździć. Spóźniliśmy się, powóz oddalił się już o pięćset kroków, a szosą maszerowało wojsko w porządku. Byłem na razie mocno strapiony, lecz w następstwie okazało się, że z życiem Czengierego związana była i moja przyszłość, i dobrze się stało, iż nie zginął z mej ręki.

Ponieważ objąłem z Chabriolem na współkę dowództwo całkiem wypadkowo, należało zdać oddział prawej władzy. Uznaliśmy za najodpowiedniejszego Chmielińskiego. Oddałem niejakiemu Podczaskiemu w Dębowej Górze czterdzieści karabinów Oksińskiego, oddział zaś, około 170 ludzi, odesłałem na furmankach w olkuskie, gdzie się znajdował Chmieliński, a sam, będąc bardzo znużonym i niewyspanym, podążyłem w towarzystwie Chabriola do Krakowa.

O Zygmuncie Chmielińskim mało wspomina Walery Przyborowski, a przecież to był jeden z najzdolniejszych i najenergiczniejszych z dowódców powstania. Bił się kilkanaście razy z Czengierym i nigdy nie rozbity, zwykle obydwie strony cofały się. Nie krył się do lasu, lecz występował naprzeciw Czengierymu w czyste pole. Sam Czengiery mówił, że gdyby był Rządem Narodowym, toby go zrobił generałem.

Komitet Narodowy w Krakowie nie dał nam długo wypoczywać. Już w sierpniu polecił utworzyć nowy oddział z rozbitków w województwie krakowskiem. Chabriol wziął się zaraz do dzieła i wkrótce zebrał dwustu ludzi. Wzywał mnie wciąż, abym się do niego przyłączył, lecz nie usłuchałem go. Czułem się jeszcze niezdrowym, a przedewszystkrem chciałem się udać w sandomierskie do mej dzierżawy, chociażby dla zaczerpnięcia nowych funduszów. Drogę miałem urozmaiconą. Wyjechałem z cudzym paszportem na imię Adolfa Rybickiego. Przeprawiłem się przez Wisłę w Sandomierzu i na komorze zmuszony byłem go pokazać. Naczelnik komory, Barszczewski, zauważył zaraz, że rysopis nie zgadza się ze mną i sądził, że kapitan napewno mnie zaaresztuje. W oczekiwaniu na eskortę, która miała mnie do kapitana Bogusławskiego zaprowadzić, wypadkowo znalazłem w kamizelce gwizdek powstańczy. Trudno było się go pozbyć, gdyż drzwi strzegł żołnierz i bacznie śledził

każdy mój ruch. W momencie, gdy nieco się odwrócił, rzuciłem za piec niebezpieczny przedmiot. Za bramą krakowską stał Bogusławski otoczony wojskiem. Wziął mój paszport i uważnie go przeglądał, gdy prawdziwym cudem Bożym zjawił się niespodzianie Czengiery z Kielc na lustrację. Spostrzegł mnie i zapytał: „Kto etot maładiec?„ Objaśniłem, iż jestem górnikiem z Galicji i udaje się dla lepszego zarobku do fabryk ostrowieckich. Bez sprawdzenia paszportu rzekł: „puskaj“. W ten sposób uratował mnie człowiek, którego o mały włos nie pozbawiłem życia. Uszczęśliwiony pomyślnym obrotem rzeczy, podążyłem do Ostrowca, gdzie mieszkał stryj mój, zawiadujący fabrykami. Oznajmił mi, iż dzierżawa została odstąpiona właścicielowi Rudy Kościelnej, Józefowi Targowskiemu. Pieniądze były złożone u stryja, zaopatrzyłem się więc w pokaźną sumę. Żywiłem jeszcze jedno pragnienie: ujrzenia panny Zofji Targowskiej,—lecz do majątku Raj, gdzie mieszkała, nie mogłem się dostać, gdyż wojsko nieprzyjacielskie stało w Solcu, pojechałem więc do Brzozowej Nowakowskiego w nadzieji, że może mnie tam odwiedzą. Nazajutrz rzeczywiście przyjechała pani Targowska z córkami, co mnie nad wyraz ucieszyło. Nie oświadczałem mych uczuć, chwila bowiem, zbyt poważna, nie dozwalała myśleć o szczęściu osobistem, prosiłem tylko, by panna Zofja obdarzyła mnie jaką pamiątką. Odpięła kokardkę z pod szyji, podała mi ją z życzeniem, aby, jak talizman, broniła mię we wszelkiem niebezpieczeństwie.

Odpoczęłam kilka dni w Brzozowej, poczem powróciłem do Krakowa, gdzie czekała na mnie smutna wieść, iż oddział Chabriola został rozbity pod Mełkowem, on sam zginął śmiercią bohaterską w pobliżu armat, które pragnął zdobyć. Jednocześnie padł pułkownik Władyczański. W bitwie brało udział przeszło 900 naszych i Rosjanie zostaliby rozbici w puch, gdyby nie śmierć dowódców.

W bitwie tej oddział rozstrzelanego Iskry, po przemówieniu Chmielińskiego, żeby się okazali godnymi, bił się walecznie.

Przyznaję się, iż byłem już zrażony do powstania, które wydawało mi się bezcelowem, a taki smutny obrót przybierało. Gdzieniegdzie prowadzono jeszcze drobne utarczki, mianowicie Chmieliński w Krakowskiem, a w Lubelskiem Kruk, lecz ducha już brakło,—a także i sił.

W Krakowie wpadłem w towarzystwo złotej młodzieży, hucznej, wesołej i pustej.

Na 28-go października udałem się do Królestwa, żeby złożyć ojcu mojemu życzenia imieninowe, stamtąd pocztą narodową powróciłem w sandomierskie, z zamiarem wstąpienia do jakiego oddziału.

Województwem krakowskiem, sandomierskiem i piotrkowskiem dowodził wówczas generał Bosak (hr. Hauke), mając przy boku, jako szefa sztabu, Zygmunta Chmielińskiego. Oddziały ich koncentrowały się przeważnie w lasach Śtokrzyskiej. Chmieliński stoczył kilkanaście utarczek z Czengierym, nigdy nie rozbity.

Województwo krakowskie nie miało własnej siły zbrojnej, a Bosak z Chmielińskim na czele paruset koni przejeżdżali tylko z miejsca na miejsce.

Jadąc pocztą, wstąpiłem do Sancygniewa, którego właściciel, Andrzej Deskur, był zapalonym i energicznym organizatorem powstania, aby się poinformować, do którego oddziału radzi mi przystąpić.

Lecz on mnie zatrzymał, mówiąc: „Pan Bóg mi pana zesłał, bo znaczna ilość ochotników stoi w lesie, czekając na sformowanie, a niema komu się nimi zająć. Niech pan obejmie dowództwo!“

Byli to ludzie wysłani kosztem Krukowieckiego, syna generała z 31-go roku, który pragnął rehabilitować pamięć ojca i większą część majątku dla dobra ojczyzny poświęcił.

Wymawiałem się, jak mogłem, tem, iż jako niewojskowy zbyt wielką odpowiedzialność wziąłbym na siebie, lecz Deskur zapewniał, że wielu ochotników służyło już w powstaniu, a znajdują się między nimi żołnierze z armji austryjackiej lub rosyjskiej, którzy mi przyjdą z pomocą w ćwiczeniu innych. „Lepiej pan zadaniu podołasz, niż oficer z regularnego wojska!“

Cóż miałem uczynić? Zgodziłem się i stanąłem na czele czterdziestu ochotników. Deskur doręczył mi mapę sztabu generalnego rosyjskiego, a także mundur kirgizki i lunetę po pułkowniku Władyczańskim.

Zabrałem się energicznie do akcji, wyznaczyłem podoficerów, i wkrótce mój oddział powiększył się do stu dwudziestu ludzi. Kapitanem mianowałem Ruszkowskiego, oficera z kampanji węgierskiej, a następnie tureckiej, który wymknął się z niewoli rumuńskiej z oddziałem Miłkowskiego i do nas się przyłączył.

Przybrałem nazwisko Rokity, lecz w Krakowie i okolicach miano mnie za Rębajłę, gdyż wiedziano, iż oddziałem Krukowieckiego on poprzednio dowodził.

Przebywałem w leśnych szałasach do połowy listopada, a ludzie moi, dobrze żywieni przez obywateli, zaprawieni ciągłemi mustrami, byli zawiązkiem dzielnego oddziału.

W drugiej połowie tego miesiąca zostałem zbudzony w nocy przez kurjera, wysłanego przez Bosaka z rozkazem, abym natychmiast podążył za nim w oznaczone miejsce.

Zdziwiłem się mocno—o naszym oddziale, ukrytym w gąszczu leśnym, nikt dotąd nie wiedział, a włościanie dotrzymywali absolutnej dyskrecji.

Rzeczy miały się w następujący sposób:

Bosak, po wyjściu z lasów Śtokrzyskich, został napadnięty przez szwadron dragonów i kozaków i zmuszony był w ciągu kilku dni bez końca staczać z nimi utarczki. Przyszedł do Sancygniowa ze znacznie zmniejszoną liczbą wygłodzonych ludzi i koni. Żądał od Deskura, aby mu wskazał drogę do Galicji dla schronienia i wypoczynku, gdyż Rosjanie wzmocnieni piechotą z Proszowic i Wodzisławia, nie odstępowali go na krok, tak iż był ze wszystkich stron obsaczony. Lecz dzielny i wytrwały Deskur nie chciał słyszeć o tem. Rozumiał dobrze, że z chwilą wkroczenia Bosaka i Chmielińskiego do Galicji, duch w powstańcach do reszty upadnie.

Chmieliński na to odparł: „Gdybym miał chociaż garstkę piechoty, próbowałbym się przebić przez nieprzyjaciół z powrotem w lasy Śtokrzyskie“.

Deskur, uradowany oznajmił, iż oddział taki istnieje w pobliżu, w liczbie stukilkudziesięciu ludzi pod Cywińskim—Rokitą.

Wskutek tego odebrałem rozskaz stawienia się w punkcie zbornym niedaleko Gór, gdzie miano na mnie oczekiwać.

Zastałem eskortę Bosaka przy świetle latarni. Chmieliński serdecznie mię powitał i przedstawił Bosakowi, który, nie tracąc czasu wydał mi polecenie uderzenia w Górach na nieprzyjaciela, wykłucia dragonów co do nogi—sam zaś, gdy posłyszy strzały, przybędzie gonić niedobitków. Rozskaz był stanowczy, odpowiedziałem tylko—postaram się. Liczyłem na odwagę mych ludzi i na ciemną noc. Czas był brzydki, deszcz mżył. O szarej godzinie nad ranem przyszedłem pod zabudowania w Górach, żadnych pikiet rozstawionych nie widziałem.—Odkomenderowałem dwudziestu, aby znienacka rzucili się na dragonów, pilnujących koni w stajni, a na czele innych, zabroniwszy strzałów, gdyż sądziłem, iż napadnę śpiących, podążyłem przez podwórze ku pałacowi, w zamiarze niespodzianego ujęcia oficerów. Tymczasem spostrzegłem dragonów i kozaków, uszykowanych w porządku przed pałacem. Dałem sygnał z rewolweru, na znak rozpoczęcia bitwy, i moi zasypali ich ogniem rotowym. Rosjanie nie spodziewali się nas ujrzeć, a nie znając liczby, w jednej chwili zawrócili w przeciwną stronę i przez ogród i płoty uciekali.

Rozłożyłem się zaraz w pałacu, gdzie porozkładane były na posadzkach materace dla oficerów. Rządca majątku, sybirak, nazwiskiem Kenig, na wszystko mnie zaklinał, abym Góry opuścił, mówiąc, iż dragoni, w połączeniu z piechotą, znajdującą się w pobliżu, powrócą wkrótce i doszczętnie nas wymordują.

Nie reagowałem na prośby i lamenty, kazałem tylko zabić kilka baranów na śniadanie. Pikiety jednak dla bezpieczeństwa rozstawiłem. Zaledwie wypoczywaliśmy pół godziny, podniesiono alarm, że dragoni powracają. Ustawiłem więc mój oddział w czworobok na dziedzińcu, przed pałacem, zabraniając strzałów, myślałem bowiem, iż to mogą być równie dobrze i nasi. Ostrożność okazała się zbawczą, gdyż zbliżała się do nas kawalerja Bosaka, jadąca stępa.

Dowódca zszedł z konia, wziął mię w objęcia mocno, ucałował, wołając: „Kapitanie, ocaliłeś nas“. A Chmieliński wesoło dorzucił: „Wracaj teraz do swojej nory, my pójdziemy dalej“.

Lecz oparłem się temu, dowodząc, że póki o mnie nie wiedziano, mogłem bezpiecznie organizować się w lesie, teraz zaś Rosjanie gotowi otoczyć nas i zgnieść. Prosiłem więc o odprowadzenie moich ludzi w Śtokrzyskie lasy, gdzie była znaczna partja piechoty pod Bogdanem Walterem i Postawką. Bosak się zgodził. Ściągnąłem przeto kilkadziesiąt furmanek, umieściłem na każdej po dwóch lub trzech i eskortowany przez kawalerję ruszyłem w drogę. Wozy zmieniłem w Krzyżanowicach. Wieczorem przybyliśmy do wsi Szaniec. Tu rozstałem się z jazdą Bosaka, która podążyła naprzód w stronę Zrycza, ja zaś dla pożywienia i nowej zmiany furmanek pozostałem na miejscu, mając zamiar pośpiesznie wszystko załatwić, gdyż w pobliskiej Stopnicy kwaterowało parę rot rosyjskich.

Kilku z oddziału, wysłanych za furmankami, powrócili z niczem, gdyż chłopi się rozbiegli. Przyprowadzono mi sołtysa. Zacząłem go okładać płazem, grożąc mu powieszeniem i podpaleniem wsi, jeśli w ciągu godziny nie dostarczy furmanek. Mój system okazał się skutecznym. Wkrótce dostawiono dwadzieścia kilka wozów. Proboszczem w Szańcu był wówczas ks. kanonik Wnorowski—widział, jakem operował sołtysa, przypadł do mnie z właścicielką majątku, panią Rogozińską, zaklinając na wszystko, abym nie odbierał życia bezbronnemu.

Gdy, po latach, kanonik Wnorowski został biskupem djecezji lubelskiej, pojechałem złożyć mu cześć. Zaraz mnie poznał, ucałował najserdeczniej ze słowami: „Czy wiesz, że przez ciebie trzy noce śpać nie mogłem, taki miałeś straszny wygląd, okładając tego nieszczęsnego sołtysa!“ Przyobiecał, iż pierwszy wyjazd skieruje do mej parafji w Piotrowinie i dotrzymał słowa.

Opuściliśmy natychmiast Szaniec i połączyliśmy się w Zryczu z Bosakiem. Mianował mnie lustra-

torem generalnym województwa sandomierskiego i polecił powierzyć mych ludzi tymczasowo Walterowi, w oczekiwaniu na przyjazd wyleczonego Rębajły, który miał objąć nad nimi dowództwo z rozkazu Krukowieckiego.

Nadal więc pędziłem wędrowny żywot, przejeżdżając z miejsca na miejsce, odwiedzając kolejno oddziały Postawki, Waltera, Bogdana, Siemiątkowskiego, Lubina, Rudowskiego, Wielobyckiego. Co dni kilka zdawałem raport Bosakowi. On sam objeżdżał województwo z eskortą, wynoszącą do czterystu koni, gdyż przyłączyli się świeżo sformowani przez Wielobyckiego Krakusi. Na jej czele stoczył pod Obichowem zwycięzką potyczkę, a następnie pod Ociesękami, zasilony piechotą Bogdana i Waltera, drugą pomyślną bitwę.

Nie licząc kawalerji, miał wówczas Bosak w sandomierskiem i krakowskiem około trzech tysięcy piechoty, gdyż w okolicach Janowa, Dynysiewicz, syn komendanta żandarmerji rosyjskiej, sam oficer serbski, utworzył znaczny oddział, który kilka razy szczęśliwie walczył z Rosjanami.

Istnieli również żandarmi pod Boguszem i Rzewuskim.

W początkach grudnia odebrałem rozkaz sformowania nowego oddziału z 500 ludzi w sandomierskiem. Uważałem to za niemożliwe do urzeczywistnienia w bezleśnej okolicy, gdzie nie było żywiołów dla powstania życzliwych, tembardziej, że już kilka prób zebrania większej ilości ochotników spełzło na niczem. Pragnąłem przedstawic Bosakowi powyższe powody. Bawił on chwilowo w krakowskiem, przyłączyłem się więc do Wielobyckiego, który pracował nad resztą krakusów w Rudzie Kościelnej i razem udaliśmy się na poszukiwanie wodza.

Po kilkodniowym marszu w różnych kierunkach oznajmiono nam, iż Bosak zbliża się ku Ostrowcu. Zmuszeni gołoledzią, zatrzymaliśmy się w Bodzechowie dla podkucia koni na ostro. Kowale pracowali przez noc całą. Nad ranem przybyła wiadomość, że Bosak stoi w Miechowie. Nie czekając, zanim Wielobycki zbierze swą kawalerję, dojechałem bryczką do naszego dowódcy. Przedstawiłem Bosakowi i Chmielińskiemu trudności zebrania teraz nowego oddziału. Lecz oni wymogli na mnie przyrzeczenie, iż postaram się chociaż dać mu początek w zimie, a na wiosnę z miejscowych lub galicyjskich ludzi resztę dopełnię. Broń miała czekać na granicy.

W czasie rozmowy nadciągnął Wielobycki w sto koni. Eskorta Bosaka, doświadczona i obyta w boju, przedstawiała się więc wcale pokaźnie.

Zabraliśmy się do śniadania, aż tu, niespodziewanie, poczęły świszczeć kule kozackie. To nadchodził Czengiery na czele szwadronu dragonów, sotni kozaków i pięciu rot piechoty.

Chmieliński natychmiast sformował kawalerję do boju, prosiłem także o konia, lecz nie było zbywającego. Odezwał się adjutant Bosaka, iż jest koń po oficerze rosyjskim, lecz kto tylko na niego siądzie, zaraz w walce ginie—między innymi—uległ temu losowi porucznik Edelstein. Odpowiedziałem: „Wolałbym nawet na djabła wsiąść, niż ginąć bezbronnym“. Okazało się, iż był to dzielny rumak i wielkie mi usługi oddał.

Kawalerja Bosaka, wyszedłszy z Miechowa, przez Gromadzicę posuwała się w stronę Bodzechowa z zamiarem dostania się w tamtejsze lasy, gdzie piechota Lubina—kwaterowała. W wielkim porządku, jak przystało regularnej jeździe, dążyła wytrwale naprzód, stawiając energiczny opór dragonom.

W arriere-gardzie szli tyralierzy Jana Prędowskiego.

Piechota rosyjska goniła nas na furmankach i obsypywała kulami, lecz my, nie zważając na nią, jechaliśmy dalej stępa.

Koło fabryki bodzechowskiej, przed lasem, znajduje się spora grobla. Chmieliński zakomenderował kłusa, chcąc dać prędzej arriere-gardzie miejsce do jej przebycia. Między głównym korpusem a ariergardą jechali Krakusi Wielobyckiego, konie i ludzie nieobyci z wojną. Na komendę Chmielińskiego, spłoszone rumaki w najwyższym nieporządku zaczęły ponosić. Widząc zamieszanie i obawiając się, iż, zanim przebędziemy groblę, dragoni natrą na arriere-gardę, w której znajdował się Bosak, i odetną ją od całości—puściłem się en carriere do Chmielińskiego, aby mu donieść, co się na tyłach dzieje.

Wówczas postanowił wstrzymać pochód, lecz rozhukane konie, parte przez Krakusów, wpadły na nas i porwały nas ze sobą. A dragoni zdążyii dopaść arriere-gardę, która została zmuszona do walki bronią sieczną. Kilkunastu zginęło. Napróżno Chmieliński wszelkiemi siłami probował wstrzymać tłum, pchającej się jazdy.

W pewnym oddaleniu, już w lesie, był rów, a na nim leżał wywrócony furgon. Mój dzielny koń przeskoczył przeszkodę, za mną chciał uczynić to samo Chmieliński, lecz jego wierzchowiec potknął się i przewrócił... Jeździec podniósł się i, utykając wszedł w las, gdzie dopadli go dragoni, wystrzałem ranili i wzięli do niewoli. Prawdziwa rozpacz ogarnęła mnie na widok ujęcia bohaterskiego, ukochanego dowódzcy.

Ujechałem kawałek drogi w popłochu i spostrzegłem Bosaka, otoczonego zaledwie garstką powstańców. I jemu groziło poważne niebezpieczeń-

stwo. Rzuciliśmy się w kilkunastu, żeby go bronić, ale konie, wystraszone i rozstrojone walką, poniosły nas dalej.

O pół wiorsty stała w lesie piechota Lubina, i nie przybyła nam z pomocą! Jeden tylko Węgier Szandor, mający w tym oddziale pięć koni, wypadł z boku na nieprzyjaciół i, posiekawszy kilku, wstrzymał pościg.

Chmielińskiego poprowadzono w tryumfie przez Iłżę do Radomia. Do Iłży przyjechało kilku oficerów rosyjskich naprzeciw eskorty, wiodącej Chmielińskiego. Pomiędzy oficerami znajdował się kolega Chmielińskiego, przystąpił do niego ze słowami: „Walczyłeś, walczyłeś, i cóż wywalczyłeś?“ A Chmieliński, i w niewoli nie tracąc energji i ducha, odparł dumnie: „Jeśli potrafisz lepiej, to mnie zastąp!“

Jako dawnego wojskowego, rozstrzelano go w Radomiu, a opowiadano później, że Rosjanie wpadli w prawdziwy entuzjazm i tańczyli na ulicach.

Po tylu wstrząsających wrażeniach udałem się do Brzozowej Nowakowskiego. Nazajutrz zatrzymała się tam na godzinę dla wypoczynku kawalerja Turskiego, poczem ruszyła dalej. W czasie obiadu, posłyszeliśmy na dziedzińcu straszny gwałt, świst nahajek, płacz i krzyki—banda objeszczyków okładała gorzelanego i paru innych ze służby, pytając o powstańców. Poleciłem lokajowi uprzedzić wszystkich, iż wystąpię jako rządca majątku. Nagle wpadło do pokoju kilku oprawców i z punktu zaczęli mię bić nahajkami. Na szczęście miałem na sobie gruby kożuch i dzięki niemu nic nie czułem.

Wyszedłem przed dom i z góry powstałem na oficera, co to za barbarzyństwo wpierw bić, a potem wypytywać. „A któż pan jest?“—„Rządca pana Nowakowskiego“. — „Czy widział pan buntowszczyków?“ — badał mnie oficer.—„Widziałem“.— „Ilu ich było?“ Koło czterdziestu“. — „Kłamiesz, było przeszło sześćdziesięciu!“ Ja zaś zupełnie spokojnie: „Jeśli wiesz sam, czego się pytasz?“— „A piechota czy była?“—„Nie było“, odparłem, „lecz stąd o trzy wiorsty stoi Lubin w dwustu, nieco dalej zaś Siemiątkowski w czterystu ludzi“. Słysząc to, pomknął na czele swych objeszczyków w strone Lipowej Górki, gdzie stała rota. Pozbywszy się w ten sposób niemiłych gości, wpadłem do stajni, wskoczyłem na mego konia oklep i zmykałem do Rudy Kościelnej. Tutaj przychylni mi chłopi rozstawili pikiety, aby nieprzyjaciel nie naszedł mnie niespodzianie. Zabawiłem krótko i udałem się w Śtokrzyskie na poszukiwanie Bosaka.

Znalazłem go w Małym Jodle. Prosiłem o zwolnienie od formowania oddziału w sandomierskiem i radziłem, aby sam rozpuścił swe wojsko i wyjechał zagranicę, gdyż z powstania niema już żadnej przyszłości. Zdawało mi się, że argumenty moje skłonią Bosaka do tego, lecz z drugiego pokoju wyszedł zły duch, ks. Kotkowski i napadł na mnie, że mogę doradzać coś podobnego, dowodził konieczności utrzymania się do wiosny. Wówczas Bosak począł mnie prosić o pozostanie na stanowisku, moje wycofanie się bowiem mogłoby źle wpłynąć na innych.

Porozumiałem się więc z oficerami, którzy byli przeznaczeni do mego oddziału, jak Aleksander Marcinkowski, Stefan Tarnowski, Zielonka i Ruszczyc. Spotkałem się wypadkowo z Michalskim, który dowodził pod Kononowiczem Kosynierami. Pod Rożninewem oddział jego Kosynierów odznaczył się wielką odwagą. Michalski był dawniej w armji powstańczej niemieckiej w r. 1849—50 oficerem przeciw Duńczykom w Schleswig-Holstinie, wojskowy z kampanji węgierskiej. Porozumiałem się z nim, że mi da na wiosnę 1864 roku 400 chłopów z Kozienieckiego, którzy byli bardzo przychylni powstaniu, a ja mu dam 400 karabinów, o które było łatwo na granicy austryjackiej. Lecz ten projekt spełzł na niczem, z powodu okoliczności jak niżej opiszę. Sam zaś wybrałem się do Wielogóry pod Sandomierz, licząc, iż tam nikt mnie nie odnajdzie. Bosak w częstej korespondencji naglił do pośpiechu, miałem jednak zbyt wiele przeszkód, aby módz prędko urzeczywistnić zamiary.

W czasie mego pobytu w Wielogórze, przyjechał do wnuka właściciela Pawlickiego, zaprzyjaźniony z nim półkownik rosyjski, Gołubiew, w towarzystwie oficera Rozsudowskiego. Przebyli z nami do późnej nocy, które spędziliśmy wesoło i w dobrej komitywie przy stoliku i butelce. Na pożegnanie ucałowaliśmy się z dubeltówki. Wkrótce potem dowiedział się pułkownik, że to ja byłem owym Rokitą, naczelnikiem wojennym powiatu sandomierskiego. Wpadł w pasję na wspomnienie uścisków z buntowszczykiem, wyrywał sobie wąsy ze złości i, wołał: „Wot mi kolega! bez suda powieszu!“ Kazał Rozsudowskiemu na czele 50 kozaków powrócić do Wielogóry i mnie zaaresztować. Lecz konny posłaniec uprzedził nas o tych zamiarach. Musiałem więc opuścić natychmiast gościnny dom.

Po powrocie z emigracji w 69 roku spotkałem tegoż Gołubiewa w Radomiu w restauracji. Gdy mi kelner potwierdził, że się nie mylę, poleciłem przenieść moje nakrycie do jego stolika i zacząłem rozmawiać o rzeczach obojętnych. Wtrąciłem między innemi, że się doskonale znamy. „Nie przypominam sobie pana“,—odpowiedział Gołubiew. „A czy pamięta pułkownik Rokitę?“—Owszem, ale cóż to ma za związek z panem. — Wówczas podniosłem

się na całą wysokość i powiedziałem: „Ja jestem owym Rokitą, którego pułkownik chciałeś powiesić bez sądu!“ Zrobiło mu się mocno niewyraźnie, rzucił mi się na szyję, zapewniając: „Jakżeż się cieszę, żem pana nie powiesił!—Opowiedziałem mu swoje przejścia, że jestem już wolny po odsiedzeniu kary. Prosił serdecznie, abym go odwiedzał w Radomiu, gdzie pełnił urząd naczelnika guberjalnego straży ziemskiej.

W końcu lutego 64-go roku przyjechałem do wsi Swiniary hr. Borkowskiego z prośbą o przeprawienie przez Wisłę do Galicji. Spotkała mnie odmowa. Hrabia oburzał się na ciągłe najazdy powstańców, które sprowadzają na jego dom rewizje kozackie. Wziąłem wówczas kawałek papieru napisałem rozkaz i przybiłem pieczęć z poleceniem, przeprawienia mnie przez Wisłę. Borkowski trochę zmiękł, choć narzekał jeszcze, iż będzie to bardzo trudno, gdyż oprócz objeszczyków, rozstawione straże chłopskie, chwytają powstańców. W trakcie tych wahań nadeszła gromada chłopów, wtargnęła do dworu i zabrała mnie.

Nigdy jeszcze nie znajdowałem się w tak strasznem położeniu, właśni rodacy prowadzili mnie do nieprzyjaciół. Wsiadłem na sanie pomiędzy dwoma, reszta otaczała nas, i tak ruszyliśmy w drogę! Byłem w prawdziwym strachu, gdyż miałem przy sobie pieczęć i rozkaz Bosaka tworzenia oddziału.

I tym razem jednak Opatrzność czuwała nademną. Spotkaliśmy dwóch kozaków, jadących po siano dla koni. Zatrzymali nasz konwój, zapytując chłopów, kogo wiozą. Odpowiedzieli, że prowadzą powstańca do kapitana. Odezwałem się do kozaków: „Łajdaki te wzięli mnie bezprawnie u hr. Borkowskiego, do którego wstąpiłem, jadąc na jarmark do Osieka. Jestem wszystkim znany obywatel Rusocki“. Odparli: „Sprawdzimy to na miejscu“ i zawrócili do Swiniar. — Zdaleka już wołałem do właściciela: „Zmiłuj się, hrabio, cóż się tu dziś u ciebie dzieje? To chłopi, to kozacy mię zatrzymują, gotówem przez nich spóźnić się na jarmark!“

On począł częstować kozaków wódką, rozmawiając z nimi, znów dolewał do kieliszków. W końcu szepnął mi na ucho: „Umykaj pan do stu djabłów póki ich tu zabawiam!“ Najnaturalniej, jakby się tu nic nie zdarzyło, wyszedłem z dworu, zawołałem na woźnicę i kazałem jechać wolno. Dopiero, ujechawszy kilkaset kroków, krzyknąłem furmanowi, aby pognał, jak wiatr, a w nagrodę obiecałem trzy ruble. Rzeczywiście w jednej chwili dostałem się do wikarego w Osieku, rzuciłem furmanowi pieniądze, rozkazując aby umknął w przeciwną stronę, księdza zaś prosiłem o przechowanie mnie do wieczora. Ksiądz odszukał znajomego przemytnika i z nadejściem nocy wyprawił mnie pod jego opieką do Galicji. Rzekę przebyliśmy szczęśliwie, lecz gdyśmy podchodzili do wsi, położonej na drugim brzegu, doszedł naszych uszu wielki hałas. Wysłałem mego towarzysza na zwiady. Powrócił z nowiną, iż dwór otaczają węgierscy huzarzy, a wewnątrz odbywa się rewizja. Przeczekałem w ukryciu, póki wojsko nie odeszło, poczem udałem się do dworu. Tu powtórzyło się to samo, co w Swiniarach. Obywatel Pepłowski przyjął mnie wymyślaniem od włóczęgów. Cierpliwie wysłuchałem i z najzimniejszą krwią poprosiłem o papier i atrament. Napisałem: „Naczelnik wojenny powiatu sandomierskiego, Rokita, rozkazuje obywatelowi Pepłowskiemu, aby go przenocował i z wszelkiem bezpieczeństwem odstawił do Tarnowa“. Odrazu stosunek się zmienił, gospodarz domu począł mnie przepraszać i ugaszczać. Nazajutrz syn jego odwiózł mnie do Tarnowa powozem, a stamtąd dostałem się już bez trudności do Krakowa.

Spacerując po linji A—B, spotykałem wielu znajomych, którzy się mocno dziwili, skąd się tu wziąłem po odniesionym zwycięztwie iłżeckiem. Oddział mój bowiem, powierzony Rębajle, a przez niego bowiększony, napadł na dwie roty rosyjskie majora Suchonina i gonił je z dziesięć wiorst. Zginęło około stu czterdziestu nieprzyjaciół i padł sam major. Ponieważ ja ów oddział tworzyłem, brano mnie ogólnie za Rębajłę, a wszystkie moje tłomaczenia na nic się nie zdały.

Obiad zjadłem w towarzystwie niejakiego Kosińskiego, urzędnika magistratu. Ostrzegał mnie, abym natychmiast opuścił Kraków, gdyż jako domniemanemu Rębajle, może mi grozić areszt. Lecz ja miałem inne zamiary. Opowiadano, iż znajduje się w Galicji 10,000 powstańców, sformowanych w kadrach, przebąkiwano też o interwencji zagranicznej na wiosnę. Z rozkazem Bosaka, z którym się nie rozłączałem, udałem się do organizatora Zachodniej Galicji, Jundziłła, prosząc go, aby natychmiast wysłał 500 ludzi na granicę. On chętnie wydał polecenie, aby żądana ilość ruszyła zaraz z cyrkułów Jasutskiego, Bocheńskiego i Tarnowskiego.

Gdym powracał od niego, zostałem niespodziewanie zatrzymany przez policję i eskortowany do aresztu. Miałem na sobie szubę niedźwiedzią. W ciągu paru godzin przyprowadzono aż ośmiu w takichże szubach. Lecz po krótkiem badaniu, kolejno wszyscy zostali uwolnieni. Ja jeden pozostałem. Żołnierze szeptali pomiędzy sobą, a nazwisko Rębajły dochodziło mnie niekiedy.

Nareszcie około dziewiątej wezwano mnie uroczyście. Spytano, kim jestem. Wyjąłem kartkę na nazwisko Seweryna Rzębińskiego. „Po co pan przy-

jechał do Krakowa?“ „Jestem mechanikiem, służę u hr. Tarnowskiego, który mnie przysłał po młocarnię“. „Gdzie pan się kształcił?“. „W Warszawie“. „Musisz pan spędzić tutaj noc, a my sprawdzimy kartkę“. A ja na to: „Dlaczego mnie zatrzymujecie i każecie spać w takich brudach?“ „Nie znamy pana, więc nie możemy go puścić na wolność“. Wówczas nadrabiając miną, oświadczyłem, że mnie cały Kraków zna. „Czy może pan kogo wymienić?“ „A choćby p. Kosińskiego, urzędnika z magistratu, z którym dziś obiad jadłem w restauracji“.

Jeden z komisarzów podniósł się i rzekł: „Zapytam się pana Kosińskiego“ i wyszedł niezwłocznie. Byłem w strachu, jaki obrót moja sprawa weźmie, ale ów szlachetny komisarz uprzedził Kosińskiego pod jakim nazwiskiem się ukrywam. Po kwadransie, obaj przyszli; Kosiński witał mnie serdecznie i zaświadczył, iż znamy się od dziecka. Dzięki niemu wypuszczono mnie, i tej nocy jeszcze powróciłem do Tarnowa. W mieście tym udałem się natychmiast do kapitana Umy, organizatora cyrkułu Tarnowskiego, dla porozumienia się co do wysyłki ochotników. Objaśnił mię, iż najdalej za trzy dni będą w miejscu przeznaczenia na wprost Osieka. Pocieszał, że są to wszystko ludzie wyćwiczeni, znajdują się między nimi żołnierze, a nawet kilku byłych oficerów austryjackich.

Wysłałem więc depeszę pocztą narodową do mych oficerów, pozostających w sandomierskiem, aby przygotowali przeprawę przez Wisłę, oraz żywność dla pięciuset spodziewanych ludzi. Zamierzałem, po przejściu granicy i połączeniu z oddziałami w Śtokrzyskiem, uderzyć w Staszowie na pułkownika Zwierowa dla pomszczenia klęski, którą zadał Czachowskiemu pod Grocholicami. O projekcie tym Bosak był powiadomiony.

Noc przed podróżą spędziłem w hotelu Krakowskim. Wczesnym rankiem obudził mnie hałas na korytarzach. Sądziłem, że policja mię poszukuje, lecz wezwany kelner wytłomaczył powód owego zamieszania. Został ogłoszony stan wojenny w Galicji. Ukląkłem, aby Bogu podziękować za tę wieść, która miała koniec położyć nieszczęsnemu powstaniu. Zaraz pobiegłem do Umy dla zatrzymania wymarszu kadrów, wysłałem drugi telegram w sandomierskie do oficerów z rozkazem przyjazdu do Galicji, doradzając toż samo generałowi Bosakowi.

Po ogłoszeniu stanu oblężenia, dogorywające powstanie, musiało skonać. Gdyby się ten fakt o dni kilka spóźnił, byłbym przeszedł granicę, napadł na Zwierowa i stałoby się nieszczęście, gdyż Staszów bezwątpienia padłby ofiarą zniszczenia i płomieni.

Do końca marca zabawiłem w pobliżu Jasła, w gościnnych domach obywatela Łętowskiego, u którego schroniło się jeszcze kilku powstańców, a następnie pana Lisowieckiego w Nasołowicach. Sąsiedzi obywatele często nas odwiedzali, czas przyjemnie schodził, a niekiedy bywało nawet wesoło. Tam też odebrałem wiadomość, iż wszystkie oddziały Bosaka, przy napadzie na Opatów, zostały rozbite. Był to już ostateczny absolutny koniec powstania. Dotknęła mnie boleśnie wieść o śmierci pułkownika Eminowicza, którego niegdyś we Lwowie zwerbowałem i do Królestwa przywiozłem.

Po niejakimś czasie aresztowano Lisowieckiego, który należał do organizacji, a w parę dni potem i mnie. Osadzono mię w Jaśle, lecz i tu czułem się dobrze, gdyż córki naczelnika powiatu, niemca Mayera, które poprzednio poznałem, bywając w mieście, otoczyły mnie wszelkiemi wygodami i opieką. Na zapytanie, dokąd pragnę wyjechać, wybrałem Pragę Czeską, jako niezbyt odległą od kraju.

I rozpoczęła się moja, blizko dwuletnia, tułaczka po obczyźnie, w ciągu której poznałem niedostatek i ciężką pracę, lecz dzięki młodym siłom i energji przetrwałem wszystko szczęśliwie.

Pierwsze więc kroki z wiosną 64 roku skierowałem do Czech. Przybywszy do stolicy, nie tracąc czasu, począłem robić starania o zajęcie. Prosiłem, znajomego mi posła do Rady Państwa, Tonnera, czyby nie mógł wyrobić dla mnie miejsca rządcy na prowincji. Szczerze się tem zajął, i w kilka dni, przyszedł z dobrą wieścią, iż ks. Turn-Taxis, wielki przyjaciel Polaków, chętnie mi powierzy Zarząd paru folwarków, z roczną pensją dwóch tysięcy reńskich.

Udałem się natychmiast do namiestnika hr. Belcrediego, aby uzyskać pozwolenie opuszczenia Pragi. Poprzednio jeszcze, za namową studenta Skutnickiego, obstalowałem bilety wizytowe o szumnym brzmieniu „Ludomir Ritter von Wiśniewski“ (pod tym nazwiskiem ukrywałem się od czasu ucieczki z Ołomuńca). Rada jego okazała się dobrą, mój tytuł „Ritter“ wyrobił mi posłuchanie w salonie, zwykłych śmiertelników przyjmował namiestnik w ogólnej poczekalni. Lecz pomimo uprzejmego traktowania, spotkała mię odmowa. Ks. Turn-Taxis był skompromitowany u rządu przez sympatję dla powstańców i dostarczanie im broni.

W parę tygodni zjawił się w Pradze sam książę. Wezwał mnie do siebie, najserdeczniej przyjął i upewniał, że sam zdobędzie pozwolenie wyjazdu dla mnie, gdyż bardzo pragnie mnie mieć w swych dobrach, więcej w roli przyjaciela, niż rządcy. Namiestnik jednak pozostał niewzruszony.

Pozostałem więc bez zajęcia. Na szczęście spotkałem spore grono emigrantów, dzięki którym czas prędko schodził. Bawili wówczas w Pradze,

Józef Piasecki, Jan Przanowski, hr. Rostworowski, Mieczysław Łabencki, Rozwadowski, Szczepanowski, panna Postowójtówna, Krzyżanowski, Węgleński. Studjował muzykę W. Żeleński. Dopiero w połowie lipca udałem się do Drezna, gdzie znajdowali się chwilowo bracia moi, Mieczysław i Bronisław, po ucieczce z pod Iglawy—a także cioteczny brat, Witold Kuczkowski. Namówiłem ich, aby zaraz powracali do kraju, gdy są mało skompromitowani, sam zaś pojechałem szukać szczęścia w Paryżu. Odrazu otrzymałem propozycję bardzo tentującą. Spotkałem dawnego kolegę Kubańczyka, Almagro, który mi ofiarował posadę dyrektora plantacji trzciny cukrowej na Kubie, zapewniając tymczasowo 24,000 fr. i obiecując, iż mogę mieć drugie tyle z oszczędności na murzynach. Napisałem list pożegnalny do ojca. Odebrałem smutną odpowiedź z prośbą, bym nie wyjeżdżał tak daleko, ojciec obawiał się bowiem, iż nie zobaczymy się już nigdy. Pozostałem zatem w Paryżu w poszukiwaniu czegoś nowego.

W tym czasie rodak Krasucki wynalazł taczki na osi ekscentrycznej, nadzwyczaj oszczędzające siłę. Przybrał do spółki hr. Mycielskiego i jakiegoś bogatego Francuza dla fabrykacji owych taczek. Nabyłem ten wynalazek na Austrję, zaliczając tymczasowo 800 fr. hr. Mycielskiemu, który mi się wydawał najodpowiedzialniejszym z całego towarzystwa, a obiecując dopłacić resztę, gdy otrzymam od ambasadora austryjackiego pozwolenie na podróż. W ambasadzie dostałem odpowiedź odmowną.

Wówczas wystosowałem list do ministra wojny w Wiedniu z przekładaniem, iż użycie owego wynalazku do robót fortecznych i lawet armatnich zaoszczędzi rocznie rządowi do 40 miljonów. Wkrótce zawezwano mnie do ambasady, dzie spotkały mię wymówki, iż listem moim naraziłem ambasadora na niezadowolenie ministra wojny, który mu zarzucał, iż mógł odmówić przyjazdu do Austrji tak pożytecznemu człowiekowi, posiadaczowi miljonowego wynalazku. Ambasador zaś na swą rękę robił ankietę i był przekonany, że Krasucki jest zwykłym szachrajem. Zażądałem wobec tego mych 800 fr. od hr. Mycielskiego, lecz napróżno dopominałem się o nie w ciągu paru miesięcy, dopiero groźba aresztu mebli poskutkowała.

Trafiła mi się w Montpellier posada buchaltera na 2,500 franków. Za warunek położono, żebym się nauczył ładniej pisać. Musiałem więc wziąć się do kaligrafji, jak uczniak.

Wśród emigrantów znalazłem dawnego znajomego, Surmackiego, który znajdował się w ogromnej nędzy. Próbował różnych czynności, był subiektem w paru sklepach, ostatnio pracował w kanalizacji, obecnie pozostał bez grosza przy duszy. Ojciec zaopatrzył mię w pieniądze, więc zaproponowałem mu założenie na spółkę sklepu korzennego i handlu win, któryby on prowadził. Przystał najchętniej i zabrał się do montowania interesu. Lecz po pewnym czasie zjawił się u mnie ze smutną wieścią, iż nie może nadal prowadzić handlu, gdyż mu przywrócono poprzednią posadę. Rad nierad, zmuszony więc zostałem do zajęcia się osobiście episjerstwem.

Sklep mój był położony przy rue Madame 31, w punkcie zamieszkałym przez robotników i małych rentjerów. Aby im udogodnić nabywanie produktów, zaopatrywałem się nawet w mleko i kartofle, tak, że kobiety, powracające z fabryk, znajdowały na miejscu wszystkie niezbędne przedmioty. Zyskałem wkrótce zaufanie i sympatję mych klijentów, zdarzało mi się nawet godzić ich, a matki przysyłały ciągle swe córki do mnie, gdyż miałem opinję solidnej partji. W pobliżu sklepu, na ulicy, smarzył pewien Francuz tak zwane pommes frites, zaprzyjaźniliśmy się i wspólnie jeździliśmy co tydzień jego wózkiem po świeże zapasy kartofli. Nigdy nie czułem się tak wesołym i swobodnym, jak w czasie owych wycieczek, w towarzystwie prostego całkiem człowieka. Dochody ze sklepu kolonijalnego okazały się niewystarczającemi, musiałem szukać nowych źródeł. Pożyczyłem więc 1,200 fr. zdolnemu cukiernikowi Greczyńskiemu, aby powiększył swój zakład i przybrał kilku pomocników. Umowa stanęła, iż po otrąceniu wynagrodzenia za jego pracę, koszta i zyski dzielić będziemy.

W tej kamienicy mieszkała już niemłoda panna Fifi, pierwsza robotnica w fabryce gorsetów. Marzeniem jej było mieć pracownię własną. Dopomogłem jej w tem, a dochody mieliśmy również dzielić.

W ten sposób zajmowałem się jednocześnie trzema procederami i dzięki nim mogłem prowadzić przyzwoitą egzystencję.

W sierpniu 65 roku doszła mię wieść, że cesarz Aleksander II, po śmierci następcy tronu Mikołaja, zniósł karę śmierci za powstanie. Postanowiłem z tego skorzystać. Sklep mój odstąpiłem, ułożyłem się o spłatę z Greczyńskim i panną Fifi—i pojechałem do Homburga próbować szczęścia w grze, zamierzając powrócić do Paryża w razie problematycznej wygranej, a robić starania o pozwolenie podróży do Polski, jeżeli przegram. Wziąłem ze sobą tylko tysiąc franków, resztę pozostawiłem u kuzyna mego, Wł. Cywińskiego profesora szkoły w Batognolles. Prosiłem go na wszystko, aby na moje listy i telegramy pieniędzy nie przesyłał. Z góry też opłaciłem pobyt w hotelu homburskim. Oczywiście przegrałem moją sumkę co do grosza.

Teraz skierowałem moje kroki do Hessen—Darmstadt, gdzie cesarz Aleksander II chwilowo bawił. Pragnąłem w jakibądź sposób dostać się i prosić o powrót do kraju. Zaszedłem do pałacu wielkoksiążęcego, gdzie mię poinformowano, iż najłatwiej przystąpić do Monarchy w czasie jego popołudniowego spaceru w parku. Pozostawało parę godzin do tej chwili. W oczekiwaniu, przechadzałem się więc po alejach, paliłem papierosy jeden za drugim. W końcu usiadłem na ławce w zamyśleniu. Nagle posłyszałem jakieś szepty i ujrzałem dwóch oficerów, którzy mi się badawczo przyglądali. Zrozumiałem, że mnie biorą za anarchistę, czyhającego na cesarskie życie. Powoli wycofałem się z obrębu parku. Nie pozostawało mi nic innego, jak udać się na dworzec i wśiąść do paryskiego pociągu.

Nie miałem właściwie do czego wracać, gdyż przed wyjazdem zlikwidował interesy. Lecz i tym razem nie opuściła mię dobra gwiazda. Jeden z dawnych dostawców mego sklepu, dystylator słodkich wódek, ofiarował mi 50 fr. za posadę agenta i obiecywał pięć procent od sprzedanego towaru. Zacząłem więc wędrowne życie po olbrzymiem mieście, zaglądałem do restauracji, handelkow, gargot najbardziej zapadłych. Pokonałem wszelkie trudności i już w drugim miesiącu doszedłem do 150 franków z samych procentów, a nie traciłem nadzieji, że przyszłość będzie jeszcze świetniejsza. Zabawne życie. Szukać tysiącznych sposobów do przekonania bliźnich, wyruszać rano bez planu, jadać, gdzie popadnie, objeżdżać i obchodzić wszelkie zaułki.

W początku listopada wezwał mię konsul rosyjski na skutek mego podania i oznajmił, iż mogę powracać do Warszawy, lecz tam będę karany podług całej surowości prawa. Z prawdziwą życzliwością ostrzegał, abym się dobrze namyślił, nim powezmę jaką decyzję. Stamtąd udałem się do Jarosława Dąbrowskiego, późniejszego dyktatora komuny paryskiej, prosząc go o objaśnienie, jaką karę poniosę? Odpowiedział mi, że wyrok będzie się wahał między ośmioma, a pietnastoma latami ciężkich robót, a po nich grozi mi osiedlenie na Syberji. Rozumowałem w sposób następujący: „Rodzina Cesarska liczy około 70-ciu głów, prawie co rok może być ogłoszony manifest z powodu ślubu, lub nowych narodzin. Dzięki temu należy mieć nadzieję, iż po paru latach zostanę oswobodzony. Więzienia się nie boję, skoro po niem czeka mnie użyteczne życie pośród swoich. A tu nikomu nie jestem potrzebny“. Nie odkładając, pospieszyłem z powrotem do konsulatu i zażądałem paszportu. Na tłomaczenia odpowiedziałem: „Nie zdarzyło mi się dotąd polować na białe niedźwiedzie, więc i tego chcę spróbować“.

Powierzyłem weksle kuzynowi, prosząc, aby po odbiorze pieniędzy odesłał ojcu mojemu, wziąłem ze sobą tylko sumę konieczną na drogę, aby uniemożliwić sobie odwrót—i zaraz wyjechałem.

Już od granicy dano mi eskortę z żandarmem. Do Warszawy przyjechałem przed wieczorem i prosto z dworca udałem się do policmajstra. Pozwolił mi jeszcze noc spędzić w hotelu, lecz nazajutrz odstawiono mnie do cytadeli. W celi zastałem dwóch współtowarzyszów niedoli: księdza Klimaszewskiego i chłopa z Kujaw. Wkrótce wezwano mnie do komisji śledczej, której przewodniczył pułkownik Tuhołko. On też rozpoczął badanie. Opowiedziałem rzetelnie mą przeszłość, lecz to mu nie wystarczało—gdyż koniecznie pragnął dowiedzieć się szczegółów o naszej organizacji. Odwoływał się do mego rozumu, wbijał w ambicję.—„Pan bezwarunkowo musi wiedzieć dużo, jako człowiek wybitnie inteligentny“. Upewniam pułkownika, iż wyjawiłem całą prawdę. Zresztą, gdybym nawet wiedział coś więcej, nie mógłbym się z tem podzielić z nikim, sprowadziłbym bowiem zgubę na towarzyszów, a sam pułkownik po mojem wyjściu plunąłby i powiedział „podlec”.

Nieraz wzywano mnie następnych dni, a nawet nocy do śledztwa i wciąż pytano o jedno. Tuhołko żądał, abym mu wyjawił miejsca zborne „Białych”; raz niespodzianie zagadnął, dlaczegośmy się tak źle bili pod Grochowiskami, będąc w posiadaniu wielkiej siły, poległo nas kilkuset, podczas gdy Rosjanie stracili zaledwie paru żołnierzy. Odpowiedziałem ze śmiechem: „Pułkownik mówi rzeczy, w które sam nie wierzy, aby wziąć mię na próbę. Prawda, żeśmy się nie bili szczególnie, lecz wszystkim wiadomo, iż zmuszeni byliście uciekać z Czengierym, który się schował w głębi kotła, a na błotach pozostały armaty wasze i dwustu poległych”. Tuhołko notował każde słowo i kazał mi protokół podpisać. Po tej rozmowie zamknięto mię na trzy dni w lochu o chlebie i wodzie. Po upływie tego czasu, znów stanąłem przed pułkownikiem, który zapytał ironicznie: „Musiał pan sobie przypomnieć w samotności organizację „Białych“.—Nietylko, że nie przypomniałem obecnie, lecz nigdy nie przypomnę jej i w przyszłości!“ Na to wpadł w złość wielką i podszedł ku mnie z zaciśniętemi pięściami. Uprzedzano mię poprzednio, iż niejednemu w pasji zęby wybił, to też złapałem go silnie za rękę, zatrząsłem nią, wołając: „Pomiarkuj się pułkowniku!“ Wystąpienie energiczne okazało się najlepszym środkiem łagodzącym. Tuhołko chodził jeszcze nerwowo po pokoju, nareszcie przystanął i spytał naturalnym

głosem. „Czy pan nie jest krewnym Puhały-Cywińskiego, b. policmajstra miasta Warszawy?“—Odpowiedziałem—„To był mój stryj!“—choć żadne pokrewieństwo nas nie łączyło. Pułkownik się wzruszył. Wyjątkowo, szanowałem i kochałem stryja pańskiego!—Cieszy mnie niezmiernie tego rodzaju opinja o nim. Cała nasza rodzina odznacza się silnym charakterem. Stryj służył wiernie rządowi, ja walczyłem do końca w szeregach powstania. Obecnie o niczem nie myślę, tylko o spokojnej pracy na roli. „Co nie przeszkadza, że w razie nowej zawieruchy, chwyciłbyś pan znów za broń przeciw nam!“ Za dużo przeszedłem, abym mógł coś podobnego uczynić. Pokładam całą ufność w panu, iż jako przyjaciel nieboszczyka stryja nie dasz ginąć Puhale-Cywińskiemu, tem bardziej, że wszystko szczerze wyznałem.

Nigdy już po tej rozmowie nie spotkałem pułkownika, a tylko jemu zawdzięczam złagodzenie kary.

Przeprowadzono mię do innego numeru, gdzie mieszkał jakiś mężczyzna w części ubrany po oficersku. Palił fajkę. Widok jej sprawiał mi radość wielką, gdyż podczas śledztwa zabroniono mi używać tytoniu, to też, nie przedstawiając się nawet, prosiłem go o pożyczenie mi jej na chwilę—poczem dopiero zaznajomiliśmy się. Nazywał się Waraski, odsiadywał od czterech lat karę za spisek wojskowy kolejno w Wilnie i w Warszawie. Rankiem tegoż dnia odczytano mu wyrok śmierci, myślał zatem, że wprowadzają księdza. Pocieszałem go jak umiałem, i opowiadałem o wszystkiem, co się na świecie dzieje. Spędziliśmy razem około miesiąca, i zachowałem jaknajlepsze wspomnienia o tym człowieku, który miał wysoce wykształcony umysł i dzielny charakter. Wywieziono go na Sybir na dwadzieścia lat ciężkich robót.

Razu pewnego zostałem wezwany przed sąd wojenny. Składał się z pięciu wojskowych wysokiej rangi, którzy się odznaczali uprzejmością i wyrobieniem. Na mój ukłon przy wejściu wszyscy powstali, aby mię powitać. Zapytali, czy w czasie śledztwa dobrze się ze mną obchodzono, a następnie, czy nie chcę czego zmienić w protokółach.—Poprosiłem, aby je odczytano, poczem poprawiłem niektóre szczegóły. Gdym odchodził, prezydujący podniósł się i powiedział: „Dziękujemy panu“.

W rosyjski Nowy Rok 1866-ty generał Zajcow, komendant fortecy, zwiedzał numery. Złożył mi życzenia, na które odpowiedziałem, iż znam austryjackie i francuskie więzienia, lecz nigdzie podobnego porządku nie widziałem. Tegoż samego dnia przeniesiony zostałem do trzeciego pawilonu na ogólną salę, gdzie się mieściło kilkudziesięciu pod sądem wojennym, przeważnie kandydatów do ciężkich robót, a pomiędzy nimi kilkunastu sztyletników. Z inteligencji znajdował się Kwiryn Biernacki, Dzianott, Jan Prędowski i Uragan, obaj powstańcy, Łaguna, profesor akademji duchownej w Petersburgu, człowiek zaledwie 27 lat, a już wyjątkowo wykształcony. Czas schodził znośnie, gdyż dozwolone były książki, nawet karty. Co tydzień przychodził oficer i notował żądania nasze, które zaspakajano z pieniędzy, złożonych w kancelarji. Porządek i rygor utrzymywali gospodarze, obierani przez więźniów. Dłuższy czas piastowałem tę godność na spółkę z Łaguną—słuchano nas bezgranicznie. Wieczorem i rano ksiądz odczytywał modlitwy, a wszyscy na klęczkach powtarzali za nim.

Pożywienie dostawaliśmy smaczne i obfite—na śniadanie podawano nam kawę z bułkami, w południe zupę, pieczeń z kartoflami lub kapustą, na wieczerzę znów krupnik i kawałek chleba. Niektórzy mieli swój samowar i przyrządzali herbatę. Sypialiśmy pod ścianami na pryczach, opatrzonych w siennik, poduszkę i kołdrę.

Aby długie dnie pożytecznie zająć zobiązaliśmy się kształcić jedni drugich,—i rzeczywiście nie znalazł się taki, któryby opuścił więzienie bez znajomości czytania i pisania. W chwilach odpoczynku śpiewaliśmy chórem, graliśmy w szachy. Niektórzy, uzdolnieni do dłuta, rzeźbili śliczne figurki z chleba. Raz na tydzień wyprowadzano nas na spacer po dziedzińcu, otoczonym strażą,

Grono nasze topniało powoli. Co kilka dni żegnał nas który z towarzyszów, wywożonych na Sybir, lub wyprawianych w niepowrotną podróż.

Ojciec mój uprosił znajomą p. Wawrzeniecką, aby czasami mię odwiedzała. Przez nią dochodziły nas odgłosy życia. Ona też mi oznajmiła, iż skazany zostałem w pierwszej instancji na 12 lat ciężkich robót, a następnie na osiedlenie. W drugiej instancji wyrok ten potwierdzono. Po kilku tygodniach znów mnie odwiedziła, i zaraz wyczytałem z jej twarzy, iż dobrą przynosi nowinę. Zapytełem, czy nie obniżono mi kary na osiedlenie bez ciężkich robót. A ona odpowiedziała z uśmieehem: „Pozostanie pan w kraju“, (skazany zostałem na rok fortecy w Modlinie). Zrobiło to na mnie wrażenie piorunu. Bez pożegnania pobiegłem do sali, wołając zdaleka „Zwycięztwo, zwycięztwo“. I nie było szczęśliwszego człowieka w cytadeli.

W czerwcu odprowadzono mnie na punkt zborny na Pragę, gdzie znalazłem pomieszczenie między zbrodniarzami w kajdanach, lecz wolałem ich towarzystwo niż samotność w wilgotnej celi. Musiałem tylko strzedz się, aby koledzy nie ograbili mnie z pieniędzy, jakie mi zwrócono. Oficer komenderujący

Pragą zapytał, czy chcę iść etapem do Modlina, czy wynajmę powóz. Wybrałem drogę pieszą, i przy cudnej pogodzie, a silnej eskorcie wyruszyliśmy. Żołnierze śpiewali, jeden z kozaków odstąpił mi konia, na którym dojechałem do Jabłonny, gdzie rozłożyliśmy się na nocleg. Przy ognisku obsiedli mnie w około, i w ciągu paru godzin musiałem im opowiadać o swych wędrówkach, o zwyczajach, jakie panują w zachodnich państwach, co wzbudzało ogromne zadziwienie.

W Modlinie czekała nas rewizja i kazamaty. Zastałem dwóch ziemian, Wojczyńskiego i Damięckiego, bardzo miłych i łatwych w pożyciu ludzi. Jednakże gorzej się czułem niż w Warszawie, książki były wzbronione, strawa prosta, żołnierska. Ratował nas Wojczyński, który znał się na sztuce kulinarnej i posiadał odpowiednie przyrządy. Starałem się od niego nauczyć, gdyż wkrótce miał być uwolniony. Poszło mi nieźle, i po jego wyjeździe objąłem stanowisko kuchmistrza. Co parę dni wypuszczano nas na spacer. Za jedyną rozrywkę służyły nam szachy, ulepione z chleba, graliśmy w nie zapamiętale z Damięckim, wielkim amatorem tej gry.

Prawdziwą radością napełniły mię odwiedziny ojca, który przybył uszczęśliwiony, że mi nie grozi już wygnanie.

W lutym 67-go roku wskutek manifestu z okazji ślubu Następcy Trony z królewną Duńską Dagmarą, darowano wszystkim więźniom trzecią część kary, tak, iż wkrótce wybiła dla mnie godzina wolności. Przyjąłem ją z entuzjazmem, po piętnastu miesiącach zamknięcia.

Natychmiast udałem się do majątku Raju, aby się przekonać, czy ukochana oddawna panna Zofja Targowska jest jeszcze wolną. Zastałem paru konkurentów, którzy spuścili nosy na kwintę, widząc mie niespodzianie. Po kilku miesiącach zostałem przyjęty, w sześć lat od czasu poznania narzeczonej. Po ślubie zamieszkaliśmy w Raju, którego dzierżawę odstąpił mi teść, Józef Targowski.

W życiu dalszem wiodło mi się nieźle. Nabyłem na licytacji majątek poduchowny Piotrowin nad Wisłą, w parę lat sąsiedni Kamień, a w końcu majorat Raj na własność. Pan Bóg dał mi pięciu synów i dwie córki, dziś już wszyscy na swojem,—jak dotąd mam szesnaścioro wnucząt. Przed dwoma laty osierociła mnie najdroższa żona.

Wspomnienia te skreśliłem z pomocą p. Ewy Grodzińskiej, która mi służyła za sekretarkę. W razie, gdybym za życia nie mógł ich wydać, proszę ją, by to za mnie wypełniła.

Kamień, 23/V 1911 r. LUDOMIR CYWIŃSKI.

SPORT I HODOWLA
DWUTYGODNIK ILUSTROWANY.



Na stanowisku. Hr. Juljusz Tarnowski (fot. Sarjusz Wolski).

Z moich wspomnień.

Dwie wigilje.

Było w zwyczaju, że prawie co roku latem, straż leśna, chcąc przypodobać się właścicielowi, przynosiła, to młode wilczęta, to koźlątka, a niekiedy młode łoszuki. Takim sposobem byłem w posiadaniu dwoje młodych łoszuków. Kazałem je umieścić w dość odległym folwarku, mając tam przestrone miejsce, dość wysoko zagrodzone. Karmiliśmy je mlekiem; ponieważ ogromną ilość tego spożywały, przyszło mi na myśl wziąć kilka kóz, jako karmicielki. Z początku mieliśmy pewną trudność, jednak cierpliwością, a po części głodem, zmusiliśmy łoszuki do zmiany pokarmu. Kozy też do swych niemowląt przywykły i dawały się im doskonale ssać z ziemi. Gdy jednak łoszuki podrosły, zmieniliśmy sposób karmienia. Nauczyliśmy kozy wyłazić na wywyższeńce. Że jedna po drugiej wyłaziły na przeznaczone miejsce, dawały możebność swoim przybranym dzieciom do syta się nakarmić. Dziwnie wyglądała nieproporcjonalność karmicielek do swych sysoniów. Do dozoru i doglądu odstawiłem sługę, ale p. ekonomowa tak je sobie spodobała i polubiła, że sama osobiście zajęła się niemi; przyzwyczaiły się do niej nadzwyczajnie, na jej głos przybiegały jak pieski; a niezgrabne to było, cybate, łby ogromne, na wysokich nogach, rude, niby mysz polna, biegnąc, zdawało się, że każdej chwili zwiążą się nogami. Gdy trochę podrosły, dostawały dwa razy na dzień po cebrze gotowanych kartofli, z początku mieszane z mlekiem, później z pomyjami i różnemi okrawkami. Chodziły na zupełnej swobodzie, psy tylko ich nie znosiły, i ujrzawszy je, zaraz za niemi biegły, postękując i jeżąc grzywy, starając się przytem chwycić między nogi, wtedy deptały i biły niemiłosiernie, to też psy je w wielkim respekcie miały. Na noc kazałem je zamykać, zapędzić jednak nie było możności, należało fortelem to uczynić, więc ekonomowa, poprzedzana cebrem, udawała się do szopy, łoszuki za nią biegły i wtedy zamykano bramę. Lubiły bardzo młode gałązki brzozowe, więc dostarczałem im do syta takowych. Rosły też i ładniały w oczach, łagodne i potulne, a przytem pełne życia i miłości swobody. Polubiłem je nadzwyczajnie, to też często jeździłem do tego folwarku, by polubować się ich widokiem— były bardzo wesołe, urządzały różne turnieje, to borykając się łbami, to biegnąc na wyprzódki, niby kłusa, któremu jednak żaden koń w galopie nie dorówna. W gorączce zabawy porywał ich niekiedy gniew, wtedy grzywy im się jeżyły, brody sztywniały, a oczy dzikiego nabierały blasku. Uszami strzygły i mocno stękały. Wtedy posyłałem po p. ekonomowę, na której widok zaraz łagodniały — węsząc po kieszeniach, lub trącając chrapami, czem okazywały, że pragną jakichś łakoci, w postaci chleba lub marchwi, które bardzo lubiły. Uspakajały się natychmiast, i albo szły za ekonomową do swych ulubionych sieni, lub pod szopę, by chrupać brzozowe gałązki.

Po roku samiec zaczął być trwożliwszym, samka zawsze jednakowo łagodna i potulna, jedną tylko uznawały ekonomową. W skwarne dni latem ulubionem ich schroniskiem były sieni w pomieszkaniu ekonoma, gdzie najspokojniej każde w swoim kącie odpoczywało. Niechże jaki wyrostek folwarczny, przechodząc, je podrażni, zrywały się jednej chwili, pędząc za nim z obniżonemi łbami i nieraz się zdarzało, że taki gamoń, przejęty strachem, potknie się, uciekając, wtedy łosiom w to i graj—dopadną, biją przedniemi łapami i, gdyby nie spieszna obrona, poturbowałyby szpetnie. Wtedy, złe, pomrukują, oczy zachodzą krwią i czas długi nie mogą się uspokoić. Srogi też nakaz odebrała czeladź folwarczna, by takiego drażnienia zaprzestać. Poczuwszy głód, stękały, lub pokaszliwały i biegły wprost do okna kuchennego, tłukąc łbami, a jeżeli było otwarte, starały się łby przez nie do kuchni wsunąć. Pamiętam, jak ś. p. moja matka opowiadała mi, że przyjechawszy po ślubie na Polesie, ogromnie przestraszyła się na drugi dzień rano, gdy zmęczona długą podróżą odpoczywała, słysząc dziwne stękanie i kaszlanie pod oknami; nie mogła pojąć, co było tego przyczyną i, wiedziona ciekawością, podeszła do okna; zobaczywszy potworną głowę, ubraną w ogromne rogi, u której zwisała potężna broda, z oczyma w bok patrzącemi, tak się przestraszyła, że o mało nie zemdlała. Był to ogromny kilkoletni łoś, zupełnie oswojony, który później tak do mej matki się przywiązał, że biegł wszędzie za nią; wielka tylko bieda była z faworytką psiną, która się ogromnie łosia bała i której łoś nawzajem nie znosił. Gdy matka siądzie w ogrodzie, łoś za nią, i póty stoi i stęka, póki mu chleba lub cukru nie da, a gdy dostanie swoją porcję, kładzie się najspokojniej prawie u jej nóg i tylko uszami muchy opędza lub łbem je otrząsa, a był to okaz ogromny, bo miał 10 pasemkowe rogi. Zginął jednak biedak, dopadłszy cebra gorących kartofli; z wielkim smutkiem o tem matka zawsze wspominała. Ale wracam do moich łosi.

W drugim roku dostały swej właściwej barwy, rozrosły się i w całej pełni wypiękniały zwłaszcza samiec. Przytem zrobiły się niezmiernie bujne. Nie było zagrody, którejby nie przesadził. Zoczywszy powracającą trzodę, jednym skokiem przesadzał parkan, wpadał między bydło, borykając się to z wołami, to z krowami, czem okropny popłoch wywoływał; naigrawszy się do woli, syt chwały i tryumfu, wracał cwałem do folwarku, uganiając jeszcze po drodze za wiejskiemi psami, przesadzał jednym skokiem parkan, co mu widoczną przyjemność sprawiało, wpadał do okna kuchennego i, wesoło pomrukując, domagał się niby nagrody za swoje rycerskie czyny. Miałem z tego powodu wiele kłopotu, napływały liczne skargi i pretensje, które należało ułagodzić. By zapobiedz podobnym zaj-

ściom, kazałem je wcześniej zamykać; z początku poszły na przynętę, później, widocznie samiec pojął, dla czego to czynimy, chował się, wymykał i nasłuchiwał tylko ryku powracającej trzody, by jak strzała przesadzić parkan i buszować między nią. Kazałem lekkie uzdeczki porobić i fortelem nałożywszy im takowe, chciałem je trzymać na uwięzi. Gdy tylko poczuły obce ciało na sobie, położyły się i tak przeraźliwie zaczęły stękać i skomleć, iż, nie mogąc widoku tego znieść, kazałem je oswobodzić; leżały czas jakiś, potem wstały, niby oszołomione, i na długo zrobiły się bardzo trwożliwe. Wyznaczyłem więc inną drogę na wygon, czem położyłem koniec jego wycieczkom. Z początku okazywał pewien niepokój, później zapomniał i już nie opuszczał podwórza. Ojciec mój, któremu w swoim czasie doniosłem o łosiach, pragnął, gdy podrosną, ofiarować je do ogrodu w Schönbrunie, a właściwie cesarzowi austryjackiemu, mając liczne stosunki ze Dworem. Pisał więc kilka razy, abym je wysłał. Nie było mi to na rękę, gdyż przywiązałem się niezmiernie do tych wspaniałych zwierząt, które mnie doskonale znały; ile razy widziały, małym pomrukiem objawiały swe zadowolenie, biegnąc wprost ku mnie, ocierając się o mnie i zaraz węszyły po kieszeniach, a gdym nie dość prędko podał im chleba, łbami trącały, a były tak silne, że dobrze trzeba było na nogach się trzymać, by równowagi nie stracić; udawałem wtedy przestraszonego i siadałem na ziemię, to im szyki psuło, obchodziły mię dokoła, węszyły i chrapami to za czapkę, to za odzież ciągnęły, a było im to niezmiernie trudno, z powodu ich wzrostu. Gdym rychło nie wstał, najeżały grzywy i głośno zaczynały stękać, objawiając tem swe niezadowolenie. Kończyło się zwykle tem, że oddawszy im wszystek chleb, musiałem uchodzić, bo rozochocone biegły za mną, a całym korpusem trącały, przewyższając o wiele łbem moją głowę. Dawały się głaskać i bardzo lubiły gdym je po łbie drapał, nachylały wtedy głowy i jedno przy drugim stawało przedemną. Były to dla mnie może najmilsze chwile pobytu na Polesiu, nic też dziwnego, żem je bardzo polubił i całemi siłami starałem się odwieść mego ojca od swego postanowienia. Nadeszła zima i wraz z nią nieodwołalne polecenie, abym, korzystając z sanny, kazał odpowiednią klatkę na saniach zrobić i dostawił je do Sławuty, zkąd koleją miały pojechać do Wiednia. Musiałem się zastosować do polecenia, gdyż nawet przez myśl nie przeszłoby mi go nie spełnić; choć z bólem serca poczyniłem wszystkie przygotowania ku tej dalekiej podróży moich drogich pupilów. Zaczęto budować przestronną klatkę, niby drugą arkę Noego, oznajmiłem p. ekonomowej, że pojedzie, ale wręcz odmówiła; musiałem więc chłopaka naznaczyć, którego należało oswoić z łosiami. Robota szła bardzo opieszale, gdyż wszyscy, niby w zmowie, tylko trudności wynajdywali. Ile razy przyjadę na folwark, obijało się o moje uszy: „Wychodowały, wypłakały, a teper Nimciam widaty“. Cieśle dwa razy musieli robotę z nowa zaczynać, chłopiec wymawiał się obawą tak dalekiej drogi, straż leśna za wązkie wyrąbała wyręby. Ale wziąłem na kieł i, mimo rosnących trudności, w początkach grudnia wszystko było gotowe. Sanna była doskonała, należało z niej skorzystać. Naznaczyłem więc wyjazd na pierwszą połowę grudnia. Osobiście miałem moje kochane łosie do Sławuty odprowadzić, by je doglądać w drodze i od szwanku ochronić, a tam ulokować w wagonie.



Pierwszy śnieg (fot. am. ks. Czetwertyńskiej z Milanowa).

W przeddzień mego przybycia na folwark, by stamtąd ruszyć w dalszą drogę, otrzymuję konnym wiadomość, że łosie zdechły tej nocy. Jak gromem rażony, nie chciałem wierzyć tej relacji; każę wzywać posłańca, wypytuję, badam, grożę — a poleszuk, jak zwykle małomówny, wkoło jedno powtarza: „zdochły

seje noczy". Kazałem w jednej chwili bardzo wybieganą klacz założyć do saneczek, wrzuciłem nieodstępną strzelbę z torbą i pędem pomknąłem na folwark. Na widok martwych moich drogich łosiów łzy stanęły mi w oczach, żal, smutek i zmartwienie nie do opisania. Sądny dzień zrobiłem na folwarku, wszyscy gdyby zaniemieli. „Zdochły, a z czoho, ne znajem".

Dopiero w kilka miesięcy dowiedziałem się, że ich okarmili gorącemi kartoflami, nie chcąc dopuścić do ich wyjazdu. Nie pomogły groźby, że stracą wszyscy obowiązek — nikt się nie przyznał. Cóż mi pozostało — uściskawszy moje zimne już łosie, kazałem skóry zdjąć, zachowując sobie skórę samca, która do dziś służy mi za pościel. Drugą odesłałem ojcu, opisując, co się zdarzyło, oraz żal i ból, które odczuwam, raz z powodu tej straty, a drugi, że wiem, jaką mu to przykrość sprawi.

Byłem jak struty, nie mogłem powrócić do równowagi. Na drugi dzień wykopano głęboki dół i tam je pochowałem, wysypawszy rodzaj mogiły, z brył kamiennych, by ni psy, ani żaden zwierz do wnętrza dobić się nie mógł. Zabroniłem raz na zawsze, by ktokolwiek odważył się przynieść mi nadal młode zwierzęta, nie chcąc drugi raz przeżyć podobnego rezultatu kilkoletniego pielęgnowania. Dzień prawie cały zeszedł na tej tak dla mnie smutnej robocie, a nie chcąc dłużej tam pozostać, mimo, że chyliło się ku wieczorowi, a wszyscy odradzali wyjazd pod noc w dość odległę drogę — zły i rozżalony, kazałem zaprządz i pojechałem.

Miałem przed sobą spory kawał drogi, bo 40 wiorst, ale że klacz dobrze wychodzona i łosze jej roku dobiegało, puściłem się pełnym kłusem. Droga była równa, dość szeroka, po obu stronach nieprzerwany las, okryty kiścią, niby białą oponą. Cisza, samotność i przeżyte wrażenia wprowadziły mnie w zadumę; stanęły mi w oczach moje drogie łoszuki i wspomnienie, że już rok trzeci zdala od ludzi i świata na głuchem Polesiu przebywam i że dziś właśnie, gdy samotny, w głuchym lesie, do samotnego domu powracam. Świat cały się raduje, obchodząc Wigilję Bożego Narodzenia; fala wspomnień lat dziecinnych, gdy w domu, otoczony rodzeństwem, w niecierpliwości, oczekiwaliśmy chwili, gdy wprowadzą nas do rzęsiście oświeconej choinki; radość nasza nie miała granic. Gdy chórem, przy akompaniamencie fortepianu, intonowaliśmy starą naszą kolendę „W żłobie leży..." Mimowoli, półszeptem, zacząłem nucić tę kolendę, chcąc tym dostroić się do ogólnego Święta. Kobyła zwolniła biegu i, kołysany miarowym chodem, zapadłem w głęboką zadumę.

Niespodziane pomknięcie przedemną łoszęcia, przerwało me marzenia; mimo woli obejrzałem się— cóż widzę—w oddaleniu może pół wiorsty kilka par gorejących ślepi. Wiedziałem, co to znaczy — wilki za mną pędziły.—Boże miłosierny,—odezwałem się głośno — czyż mam być pożartym przez te dzikie bestje. — Położenie okropne, sam jeden w głuchym lesie, o ratunku i marzyć nie mogłem. Klacz, poczuwszy wilki, zastrzygła uszami i popędziła, jak szalona. Strzelać nie mogłem, gdyż musiałem chwycić się sanek i użyć całej siły, aby z nich, przy tak szybkim biegu, nie wypaść i utrzymać klacz, by nie poniosła, bo wtedy śmierć niechybna. Łoszę pomknęło, jak strzała, za nim klacz i zaczęła się ucieczka, w której małe moje sanki, niby łupina orzecha, w szalonym pędzie, to w tę, to w ową stronę zataczane, groziły każdej chwili wywrotem. Głowy odwrócić nie mogłem, natężywszy całą uwagę, by prowadzić równą drogą klacz, która, panicznym strachem przejęta, pędziła na oślep przed siebie; najmniejsze uderzenie o pokryte śniegiem pnie, lub silny zawrot w zatokę, mogło mnie z sani wysadzić.

Nie widziałem wilków, ale czułem je za sobą, ta niemożebność choć orjentowania się, podwajała grozę mego położenia. Zacząłem głośno krzyczeć, niby nawołując—przyszło mi na myśl rzucić im moją torbę, by choć na parę chwil wstrzymać ich pogoń—musiałyby się na nią rzucić, ale, rozwścieczone małym początkiem, tym zacięciej zaczęłyby mnie gonić.

Rozpatrzyłem się w miejscowości, miałem jeszcze dobrych 5 wiorst do pierwszej wioski. Gdyby do niej dotrzeć! Wilki jednak coraz bliżej mnie dopadały, słyszałem ich charkanie, każdej chwili zdawało mi się, że wskoczą na sanie i rozszarpią mnie w kawałki. Już, już dopędzały, próbowały nawet wskoczyć; szalony i nierówny bieg sani im przeszkodził. W gorącej modlitwie poleciłem duszę Bogu, prosząc, by mi długich mąk oszczędził. Krzyknąłem przeraźliwie, uczuwszy naraz oddech rozjuszonej zgrai na sobie... Wtem odgłos niedalekiego strzału odezwał się echem po lesie....

Wilki odskoczyły; klacz, ostatnich wysiłków dobywając, uniosła mnie w szalonym pędzie. Sanie podskoczyły w górę, o mało z nich nie wypadłem; mignęło mi tylko ciało łoszęcia, które leżało wśród drogi.

W kilkanaście minut dopadłem wsi i, jak wichrem pędzony, wleciałem do podwórza miejscowego strzelca — byłem ocalony. Słysząc szczekanie i niezwykły ruch, wyszła jego żona. „Gdzie Gabro", pytam, „poszedł na obchód". Więcej mówić nie mogłem. „A co z wami, paniczu, że mówić nie możecie"... Wysiąść nie mogłem, tak mi nogi zesztywniały od naprężenia; ledwie z pomocą jej synów dowlokłem się do chaty. Podała mi gorzałki i, posiliwszy się nieco, powiedziałem jej przez co przeszedłem. Dzięki temu, że ktoś łoszę zabił, wilki mnie nie rozszarpały. Dzieci klacz wyprzęgły; biedna, dygotała, jak w febrze, prosiłem, by ją dobrze opatrzyli i mocno wytarli. Silna prostracja mną owładnęła. Po pewnym czasie drzwi się otworzyły: „Niech będzie pochwalony! A co, paniczu, chwała Bogu, że jeszcze żywi, toż tych bestji było ośm, a jeżeliby nie łoszę, to nie wiem, co byłoby z wami. Wracałem z obchodu; słyszę krzyk i hukanie, przystanąłem, i słucham. Widzę, przodem pędzi łosze, poznałem, że to wy jedziecie i pewnie was wilki gonią; myślę, niema co, trzeba łoszę zabić, bo inaczej z paniczem źle będzie i jakoś udało się Gabrowi. Jak panicz pomknęli, tom widział, jak te siromachy rzuciły się na łoszę. Więc ja manowcami spokojnie do domu się dostałem. Sława Bohu, że wy żywi i zdrowi, to tak mnie Bog dał za wasz



Sfora gończych p. Sergjusza Niemojewskiego z Włoszczowy (fot. Sarjusz-Wolski).

ratunek się odpłacić". Uściskałem serdecznie poczciwego szlachcica, któremu życie byłem winien. Zasiedliśmy do wspólnej wieczerzy i tak spędziłem polską Wigilję.

* * *

Na drugi dzień, odpocząwszy, odprowadzony przez Kuryjat, dojechałem do domu. Przeżyte wrażenia i przestrach, o mało nie przyprawiły mnie o chorobę, młodość jednak przezwyciężyła, i po paru dniach wróciłem do normalnego stanu. W domu zastałem list Owruckiego marszałka, Polońskiego, wzywającego mnie na 22 grudnia do Mohylny.

Mimo niespodzianej odelgi, wybrałem się w drogę saniami, licząc, że ponieważ śniegi leżały głębokie, nie zupełnie zginą do mego powrotu. Kazałem parę silnych mierzynów założyć w niewielkie sanie, nieodstępna strzelba przy mnie, furman zaś wziął na wszelki wypadek siekierę i tak puściliśmy się w drogę, Jako tako nam się jechało, a mieliśmy spory szmat przed sobą, bo 90 bitych wiorst, zdążyliśmy jednak w porę i na drugi dzień po wyjeździe z domu, o 10-ej rano stanęliśmy na miejscu. Tam jednak zamiast marszałka, zastałem pomocnika sprawnika, który z miejsca zaczął mnie namawiać, bym za odpowiednim ustępstwem zrzekł się licytacji, która była powodem mego tam przyjazdu, dając do zrozumienia, że inaczej mogę być narażonym na nieprzewidziane straty. Zrozumiałem o co chodziło tym panom. Potargowawszy się więc z memi konkurentami, ustąpiłem z moich praw za przyzwoitem wynagrodzeniem, które w tej chwili otrzymałem.—Nie miałem co do roboty, ale pomocnik sprawnika nalegał tak usilnie, bym z nim przenocował, prosząc mnie na obiad i wobec zmęczenia koni, postanowiłem przenocować i na drugi dzień raniutko wyjechać. Obiad zaciągnął się do późna, fundowali go podradczycy, więc był suty; po obiedzie zasiedli do kart i ledwie po północy rozeszliśmy się. Nazajutrz nie podobna wyjechać; znowu śniadanie, ja się wypraszam, a furmana mi spoili, więc ledwie nie ledwie około 11-ej mogłem w drogę ruszyć. Tymczasem droga coraz gorszą się stawała, woda podchodziła i śnieg topniał, zaledwie ku wieczorowi zdążyliśmy do odległej o 40 wiorst wioski, gdzie też w chacie przenocowałem. Nazajutrz wstałem rano, o godzinie 8-ej byliśmy już w drodze, a że to był 24, spieszyłem, by na ruską wilje zdążyć do domu. Miałem z górą 50 wiorst drogi, przy dobrej sannie fraszka, ale teraz była to cała przeprawa, wobec ginącej drogi. Odwilż w całej pełni, droga niby wstęga wodna; odbijająca okalające resztki śniegu,—na piasku zaś i wody już nie było. Jechaliśmy wolno, by koni zaoszczędzić i ledwie o 1-szej godzinie zdążyliśmy do położonej o 25 wiorst wioski. Należało dać koniom odpoczynek, gdyż silnie się zmogły, zatrzymaliśmy się w karczmie. Z godzinę konie nie tknęły się jadła, pospuszczały łby, co mnie nie cieszyło—później dopiero wzięły się do siana i tak zamiast dwugodzinnego popasu, jakiem z początku zamierzał, musiałem przestać, trzy godziny, póki konie, jako tako nakarmione były zdatne do dalszej jazdy. Ja i furman posililiśmy się suchym chlebem i po kieliszku gorzałki jako w dzień wilji przystawało. Przed wyjazdem, opatrzywszy dobrze broń, opasałem się ładownicą, a siekierę kazałem mieć furmanowi pod ręką na wszelki wypadek. Otaczając jak zwykle karczmę, chłopi żegnali nas, życząc szczęśliwej drogi, byśmy na „Święty Weczer" jeszcze do domu zdążyli. Pozostawało 25 wiorst, więc liczyłem, że choćby i późno, zawsze około 8-ej będziemy w domu. Podziękowawszy za życzenia, puściliśmy się w drogę. Konie, odpocząwszy cokolwiek i syte, ruszyły raźno z miejsca, co mnie otuchą napełniło, więc mówię do furmana, jeżeli konie tak pójdą, to w porę zdążymy na sam święty wieczór. Dałby to Bóg, Panie!—Jechaliśmy wiorst trzy takim tępem, gdy nagle konie coraz wolniej biedz zaczęły i na stępaka przeszły—trafiliśmy na piaszczyste wydmy, gdzie sanie ryły się głęboko, nie było rady; wlekliśmy się jak dziady, w ciężkich miejscach furman pieszo iść musiał; a tu zaczyna już zmierzchać. Nie wesoła perspektywa. Trafiwszy nareszcie na cokolwiek lepszą drogę, ruszyliśmy małym truchtem, wkrótce jednak konie coraz wolniej biedz zaczęły,

bo się piaskiem silnie sforsowały, nie zważając jednak na to, kazałem je ćwiczyć, ledwie to na parę wiorst pomogło. Najbardziej lewy koń się zmorzył, wprost iść nie mógł, jeden prawie nas i towarzysza ciągnął.

Ściemniało zupełnie, wlekliśmy się noga za nogą, gdy przed nami kilka par ócz zaświeciło— pięć, czy cztery wilki stanęło nam przed drogą, o zawracaniu nie było mowy, trzeba wprzód się dobijać, zaczęliśmy więc obaj z furmanem krzyczyć: a hu, a hu, w różne głosy—zeszły z drogi o kilka kroków w las; mając ze sobą zapas naboi nie bardzo ich widok na mnie podziałał i mijajac je, posłałem im dwa celne strzały, na które silnie zaskomlały i wyć zaczęły. Konie, dobywając resztę sił, pomknęły raźniej, za nami nikt nie pędził. Odetchnąwszy, strzelbę nabiłem i siedziałem w pogotowiu, kazawszy furmanowi całą siłą na konie wymagać.

Po kwadransie takiej jazdy, lewy koń potknął się — źle myślę, koń się rozeprze, ale jazda — w kilka chwil znowu wali łbem o ziemię i sapie jak miech kowalski. Co tu robić, nigdy w świecie nie dociągnie nas do domu. Pytam furmana, co robić — nic — wilcy nas i konie zjedzą; będą mieli dobrą wilję. Nie słucham tej bredni i każę ćwiczyć z całej siły—trzeci raz bestja pada i niema sposobu go przymusić do wstania, ledwie po dobrej chwili furman go za uzdę podniósł—trząsł się jak w febrze. Równocześnie z głębi lasu dochodziło nas wycie wilków. Nieswojo nam się zrobiło, uciekać, dokąd i czym, lewego konia poświęcić, ależ pozostały daleko nas nie zawiezie. Używamy jednak wszelkich środków, by konie przynaglić do biegu i forsując je ostatnim wysiłkiem, wjeżdzamy nad ciągnące się, po obu stronach drogi Hało. Tu jedyny nasz ratunek, pomyślałem i kazałem furmanowi zwrócić na takowe.—A to czego, pyta,—tego, że te stożki siana, to jedyny nasz ratunek, pędź do nich co siły. Zrozumiał — trafiliśmy na drożynę, mkniemy o ile możności szybko, a tu coraz bliżej dolatuje nas wycie i charkanie; gorączka mnie porywa, by prędzej się dobyć—a tu lewy zwalił się w błoto i grzęść zaczyna—tnij pasy i naszelnik— jedźmy jednym —w chwilę później jednym koniem pędziliśmy ku majaczącym się w oddaleniu stożkom. Wycie i charkanie coraz się zbliżało. Zrzuciłem burkę sobie i furmanowi przerzuciłem przez plecy, dobyłem siekierę i ze strzelbą w ręku gotów byłem do skoku.

Coraz wyraźniej zarysowywały się nam stożki, ledwie kilkaset kroków, gdy prawy koń sforsowany ciężarem i biegiem po załamującej się ciągle drodze, zapadł tylnemi nogami i mimo wszelkich wysiłków, coraz głębiej grzęznąć zaczął. Nie myśląc długo, obaj wyskoczyliśmy z sanek, podałem siekierę furmanowi i skacząc po kępach, by nie zapaść w błoto, biegliśmy co sił ku jedynej naszej ochronie — ku stożkom, Wilki tymczasem, dobiegłszy do miejsca gdzieśmy zawrócili, wskoczyły w błoto i jednej chwiii dopadły pierwszego konia, po ich warczeniu poznaliśmy, że do uczty zasiadły; to dało nam możność dotrzeć do stożka, który był średniej wysokości, ale tak obmarznięty i okryty soplami lodu, że nie sposób nam się wydrapać. Rąb siekierą w stożek—inaczej nie wyleziemy. Zarąbał z całej siły, siekiera schowała się w stożek, podniosłem obuch i furman schwyciwszy się rękoma za ten improwizowany szczebel, wydrapał się do niego. Zkąd, chwyciwszy żerdzinę, któremi stóżek przykryto, dostał się na wierzchołek. Mnie o wiele trudniej było, podałem mu strzelbę. Kazałem żerdzinę wyłamać i podać sobie, nie tak to jednak łatwym było. A tu uczta wilcza się przybliża, bo część ich nie znalazłszy miejsca przy pierwszej biesiadzie, popędziła nareszcie śladem do leżącego o kilkaset kroków od nas konia i takowego dorzynała. Spiesz się, bój się Boga, bo i mnie wilcy napadną.

Po niemałych wysiłkach, udało mu się podać mi jedną żerdzinę. Chwyciłem za nią, a ona mnie się z rąk wymyka, jak szkło; chowam rękawice i mimo piekącego bólu, trzymam z całej siły, ciągnąc, krzyczę, nogami wdrapuje się, ślizgam, twarz całą okrwawiam o lód, ale nie puszczam; po nadludzkich wysiłkach trzymając ciągle w jednym ręku żerdź, a drugą chwytając siano, dobijam się do miejsca, gdzie zwieszały okrywające stożek żerdźca, odetchnąłem, by cokolwiek anbrać tchu.

Reszta łatwiej poszła, bo już to z pomocą podanej mnie ręki i leżących żerdzi wydostałem się na wierzchołek. Uczuwszy się w bezpiecznym schronieniu, odetchnąłem swobodnie i podziękowałem Bogu, że dał nam możność ratunku.

Należało siekierę dostać, by odrąbać splątane i zamarznięte w wierzchołku żerdzia, by się usadowić jako tako. W torbach znalazły się sznury, zrozrobiwszy pętlice, próbowaliśmy złowić siekierę,—po wielu wysiłkach, udało się ją chwycić i bardzo ostrożnie przyciągneliśmy ku sobie. W kilka chwil potem przecięte żerdziny leżały koło nas, zamarzła warstwa siana wyrzucona, a na samym wierzchołku wyrobione wygodne schronisko.—„Sława Bohu żeśmy żywi — odezwał się furman,—ale konie i to co zostało na saniach przepadło, do nas może nie podejdą te siromachy przeklęte, bo się nażrą dostatecznie“. Księżyc tymczasem coraz wyżej wznosił się na niebie, przyświecając coraz jaśniej; widzieliśmy, jak nasze biedne konie otoczyła zgłodniała gromada, słyszeliśmy jej gryzienie się, ujadanie, a niekiedy skomlenie, gdy rozżarte gryzły się wzajemnie. Nie wytrzymałem i posłałem w bliszą gromadę parę strzałów, na chwilę przerwały ucztę, do której tem żarłoczniej się znów rzuciły.— Furman zwrócił moją uwagę, że coraz więcej przybywa biesiadników i rzeczywiście, stado otaczające końskie cielsko, coraz bardziej rosło i wilki coraz zażartszy bój między sobą toczyły.—Przyjdą i do nas, zobaczy panicz, bo nie wszystkie się nażrą,—przyjmiemy ich jak należy — a tymczasem, jako dziś święty wieczór, wszyscy kulję jedzą, to i my zjedzmy cokolwiek i napijmy się wódki, na zdrowie Bożej Dzieciny, która dała się nam wyratować. To nas ogrzeje, bośmy dobrze przemoczeni i ziąb dokuczliwy. W twoje ręce Antoni i daj nam Boże lepszej wilji na drugi rok. Wypiliśmy po sporym jednym i drugim hauście i zakąsili chlebem. Otucha w nas wstąpiła, bo nawet fantazya: Niech no przyjdą damy im bobu. — Dziwne to usposobienie człowieka,



Z zeszłorocznych łowów w Dawidgródku u ks. Stanisława Radziwiłła.

(fot. Sarjusz Wolski).

gdy śmierć nie siedzi mu na karku, lekceważy niebezpieczeństwo — mieliśmy też wkrótce się przekonać, że z nami tak bezpiecznie nie było. Coraz więcej przybywająca ilość wilków, zwabiona widocznie zapachem krwi i charkotaniem żerującej gromady, nie mogła się już pomieścić; pojedyńcze części mrowiska zaczęły się odłączać, i węsząc, pomknęły naszemi śladami. — A co idą do nas goście, — odezwał się furman, jeszcze im mało, chcą i nas skosztować. — Zakosztują one ołowiu a nie nas, wydrapać się nie mogą, więc nie bój się. — Dobrze to paniczowi gadać, mogą roznieść stożek w pyskach. Ledwie udało mnie się uspokoić przestraszonego Poleszczuka, który święcie wierzył w nadprzyrodzoną siłę tych zbójów leśnych. Wybrawszy sobie wygodną pozycję, przepuściłem pędzące na czele, na jakie 30 kroków—dwa wilki wyjąc i skomląc wyciągnęły się na śniegu. Odstraszyło to cokolwiek pędzące z tyłu—zatrzymały się—skorzystałem z niedalekiej odległości, by dwoma strzałami, znów dwa położyć. Cofnęły się. Tymczasem z drugiej strony hała, usłyszeliśmy wycie, widocznie nowe stado, przywabione w swej nocnej wędrówce, dążyło prosto ku stożkowi, widząc takowy okolony towarzyszami. Była ich spora kupa, szły gęsiego, wietrząc w powietrzu, gdzie tu była biesiada; przypuściłem je na strzał. Pierwszy nie męczył się długo, drugi tylko lekko trafiony zawył przeraźliwie; na to cała banda, ile ich było, zaczęła piekielną muzykę; tej pieśni długo nie zapomnę, dźwięczała i szumiała wciąż w uszach. Reszta nowoprzybyłych podbiegła do resztek koni, gdzie tylko rozłakomiwszy się, widocznie parte głodem, zawróciły do nas; część nienasycona z pierwszej partji, przyłączyła się do nich i wszystkie, jakby na komendę, rzuciły się na naszą forteczkę, okrążyły ją, wspinając się na tylnich łapach, starały się na nią wdrapać.


Pieski (fot. p. Aleksandra Wielhorskiego).

Rozwarte ich szczęki, iskrzące zęby i gorejące ślepia, mogły najbardziej zahartowanego, z równowagi wytrącić; i musiałem całej siły woli użyć, by nie stracić zimnej krwi. Prawie *à bout portant* położyłem jeszcze dwa, ale zgraja rozjuszona rwała zębami siano, widocznie wściekła, że nas dostać nie mogła. Mój Poleszczuk trząsł się jak w febrze i głośno się modlił. Nabijam i widzę, że już niewielką ilość naboi posiadam, należało je oszczędzać w razie ostatecznym—mówię więc do furmana, zamiast się trzęść, bierz jedną żerdź i daj mnie drugą i wal co sił w łby tych bestji. Klęknąwszy na stożku, zaczeliśmy ile sił starczyło, okładać tę zgraję — po każdym uderzeniu trafiony zaskomli i odskakuje, reszta nie słyszac strzałów, tem śmielej stożek napada; pewność jednak, że nas nie dosięgną, dodawała nam otuchy. Nie ustawając, jak pracowici włodarze, równym i miarowym tępem okładaliśmy te bestje; gdy nam się żerdź połamie, bierzemy drugą nie przestając ani na chwilę. Srodze nas to zmęczyło, jednak i naszym napastnikom, tak niegościnne przyjęcie dokuczyło, bo zaczęły zwolna, pojedyńczo ustępować i, skomląc, pokładły się o kilka kroków. Czekały widocznie, abyśmy zeszli. Księżyc przyświecał w całej pełni temu niezwykłemu oblężeniu. W samą Wilję, otoczeni gronem biesiadników, które konie pożarły i oczekiwały chwili, aby rozprawili się z nami. Odpoczęliśmy i my, a uczuwszy po pewnym czasie chłód, pokrzepiliśmy się gorzałką. Wilki tymczasem, co głodniejsze, pokładły się bliżej, nasycone zaś w dali, wyczekując widocznie wyniku oblężenia. Popatrzyłem na zegarek, była piąta, za dwie godziny będzie dzień, wtedy napewno się rozejdą. Chcąc jednak wcześniej się ich zbyć i przekonać, że mamy się czem bronić, upatrzyłem miejsce, gdzie większa kupa wilków się położyła—wyciągnąłem się na stożku, by moim ruchem ich nie poruszać, i celnie w tę kupę mierząc, posłałem jeden nabój, w ślad za tym, drugi. Skutek był znakomity—od pierwszego strzału trzy wilki padły, drugi strzał, trafiwszy w porywające się wilki, poodbijał im krzyże i nogi. Wyjąc i skomląc przeraźliwie bestje, zaczęły uchodzić, a ja posłałem marudom jeszcze jeden upominek. To poskutkowało. Cała zgraja, ile ich było, ruszyła z miejsca, uchodząc zwolna w głąb lasu — tylko skomlenie rannych dolatywało nas coraz słabiej. Byliśmy ocaleni. Nie prędko jednak odważyliśmy się do opuszczenia naszej siedziby, pozaszywawszy się w siano, doczekaliśmy się dnia. Słońce dobrze podeszło, dopiero wtedy zeszliśmy z naszej forteczki, podążywszy ku saniom, wszystko zastaliśmy w nich poszarpane, porwane, pogryzione, nie było co zbierać, a liczne ciała wilcze czerniły się na resztkach śniegu. Dociągnęliśmy do traktu, skacząc po kępach i często zapadając w wodę, skąd już spiesznym krokiem podążyliśmy ku domowi, — ja mając strzelbę w pogotowiu, Antoni siekierę. Bez szwanku, po godzinie marszu, dotarliśmy do pierwszej wioski, gdzie gościnnie podejmowani przez włościan, na których nasze opowiadanie wielkie wrażenie zrobiło, najęliśmy konie i popołudniu zdążyli do domu.

Mieli nas za zaginionych; mnie dajmy na to, nie było komu opłakiwać, ale żona furmana, całą noc tonęła we łzach, tym większą była jej radość.

Po świętach, posłałem kilku ludzi po sanie, nakazując, by zabrali skóry z zabitych wilków. Niestety, prawie wszystkie były nadpsute, lub nadszarpane, dwie lub trzy przywieźli, z których jedna wyprawiona z głową do dziś u mnie, jako podnóże przy biórku, na którym te wspomnienia kreślę.

GABRYEL HR. PRUSZYŃSKI.

Do dzisiejszego N-ru dołącza się prospekt „Wsi i Dworu" na rok 1913.



Jerzyk Krasicki na kucyku (z teki hr. Krasickiej z Poniemunia).

Sylwetki przyjaciół.

Bardzo naiwne opowiadania, w których, ostrzegam z góry, czytelnik nie znajdzie zawiłej psychologji, konfliktów uczuć, „żarów namiętnych“, ani na lekarstwo.



Potrójny ciężar (fot. am. p. Ronczewskiego).

Również ani śladu „przepastnych oczu“, „wężowych splotów“ i „purpurowych otchłani ust“. Nawet ani jednego „szamoczącego się“ serca. Wogóle nastrój żaden.

Ot, takie sobie historyjki o koniach i psach i o poczciwych, kochanych duszach, które człowiek tak często postponuje.

Jaśli więc zatem, o prenumeratorze „Wsi i Dworu“ nie masz bzika na punkcie psów, koni, lub innej gadziny, jeśli nie posiadasz psa „swojego najukochańszego“ psa—wyżła, foxa, szpica czy choćby najprostszego kundla, któremu wolno lizać cię po twarzy, z zabłoconemi łapami skakać na kanapę, gonić kury i wystrzępiać uszy t. zw. koszonom! (polskie wyrażenie jest nieprzyzwoite) jeśli nie masz konia, „swojego najdroższego“ konia, sokoła, druha, starego towarzysza powiernika; jeśli ci się nie zdaje, że ten koń i ten pies to ósme cudo świata, których nie zamieniłbyś na skarby wszystkich króli— jeśli tego wszystkiego nie rozumiesz—to,—po pierwsze, żałuję cię z całego serca, a po drugie, radzę i proszę nie czytaj tego wcale, nawet nie zaczynaj, bo się na tem zupełnie, ale to zupełnie nie poznasz...

To rzekłszy, mogę z czystem sumieniem zabrać się do rzeczy.

I.

Kuc zdechł. Miał trzydzieści trzy lata i najstarsi fornale nie pamiętali go młodym; nawet odwieczny stangret Łukasz — więc może był jeszcze starszy? Miał wielką głowę osiwiałą ze starości i małe, bezgraniczne mądre, pogodne oczy. Był bardzo brzydki i ani jednego dnia nie przepróżnował w całem swojem życiu. Woził mleko, a także ściółkę i koniczynę dla krów, służył do wszelkich posyłek i pilnych listów, a w południe ujeżdżały na nim, wrzeszcząc, dzieciaki z czworaków. Z każdym rokiem więcej siwiał i łeb coraz ciężej opuszczał ku ziemi, jakby nie mogąc unieść wielkiej kołtuniastej grzywy, która przed laty strzyżona, rozrastała się teraz w dziewiczy las, czy puszczę. Mówiono zawsze, że trzeba mu kiedyś będzie dać emeryturę, ale tymczasem kuc niezmordowanie pracował, zawsze poważny i spokojny.

Pewnego dnia po rannym obroku, urwał się z kantara (co mu się pierwszy raz zdarzyło przez cały ciąg zrównoważonego żywota) i powoli obchodzić zaczął wszystkie zakątki podwórza. Więc najpierw obo-



Witoldek Krasicki (z teki hr. Krasickiej z Poniemunia).

rę, w której starannie przypatrzył się krowom ryczącym na jego widok, jako że zwykle przywoził im paszę, potem stodołę i chciał dostać się do stada, ale wypędzili go oburzeni śmiałością kuca masztalerze. Stary stał pod drzwiami i dwa razy jeszcze próbował się dostać, ale, że za każdym razem wypędzono go sromotnie, zrezygnował i poszedł przed dwór, potem do ogrodu, potem do psów, nad rzękę i do sadu. Chodził po wygracowanych ścieżkach i wspomnienia stawały tłumem przed przygasłemi oczyma staruszka; jak to był młody, kary, ślicznie wystrzyżony, jak uczyły się na nim jeździć małe, biało ubrane panienki, jak pysznie galopował pod małym paniczem...

W wędrówce swojej kuc znowu zaszedł przed ganek i tu stanął, a małe jamniki siedzące na schodach, patrzyły na niego z ironją, ziewając. Kuc czekał, czy kto z państwa nie wyjdzie pożegnać się ze starym sługą, który przyszedł zdać rachunek z 30 lat wiernej bardzo służby. Ale nikt nie wyszedł; kuc powoli, oglądając się za siebie, poszedł do stajni na miejsce w kąciku, jego miejsce od niepamiętnych czasów, położył się na słomie i wyciągnąwszy głowę—zdechł. To jest nie, nie wolno powiedzieć, że „zdechł". To tylko zacna, mądra końska dusza odeszła cicho i z godnością, sowicie zapracowawszy na wieczny spoczynek.

Kuc—umarł.

Zośka.

Obręby i parki zajęcze

przełożył z niemieckiego Wiktor Stephan.

Najtańszym sposobem ogrodzenia jest płot z półcalówek, przybitych do rygli i snopów, górą zaś deska, przybita ukośnie na zewnątrz, która chroni od przełażenia, jak niemniej deska lub dachówka, ustawiona pionowo na stopę głęboko w ziemi, która chroni od podkopów.

Płot musi być 8 stóp wysoki, gdyż przez 7-mio stopowe niejednokrotnie zające wyskakiwały. Ogrodzenie takie kosztowało 200 talarów, łącznie z drzewem sosnowem, z czego sama robota kosztowała 75 talarów.

Do łowienia drapieżników potrzeba będzie 8 pułapek, 4 z żelaza na ptaki drapieżne i koszyk na jastrzębie, co razem kosztować może około 20 talarów. Jako odpowiednie miejsce na ogród zajęczy, zaleca się kawałek gruntu położony wysoko i wystawiony na słońce, zasadzony na przemian kępami drzew liściastych i i iglastych.

Dla bażantów wypuścić niektóre drzewa na 10 do 15 stóp wysokości, któreby miały, ile możności, od dołu gałęzie, zatem na otwartem miejscu wychowane.

Gałęzie, wystające poza ogrodzeniem, należy wszystkie usunąć, gdyż kuna, skacząc z drzewa na drzewo, mogłaby się dostać do wnętrza ogrodu.

Żelaza umieścić na dominujących słupach, a także koszyk na jastrzębie w miejscu odpowiedniem. Tuż koło ogrodzenia zrobić ścieżkę, wysypaną piaskiem, której drapieżne zwierzęta chętnie używają i która zarazem służy do ich tropienia. Wszędzie, gdzie są w ogrodzeniu otwory, w których stoją pułapki, ścieżka skręca ku ogrodzeniu — powierzchnia ścieżki i powierzchnia pułapki mają być na jednej linji poziomej.

Pułapka z jedną klapą, a o drugim otworze, założonym siatką drucianą jest rzeczą znaną. Przy tej pułapce zrobiłem jeszcze poprawkę przez założenie drugiej siatki drucianej, między które puszcza się żywego wróbla na przynętę; takie pułapki działają znakomicie.

Jeżeli się uważa za konieczne dać zającom wody, to w tym celu wystarczy drewniany żłób, ustawiony na glinianem podłożu — wypełniany codziennie świeżą wodą.

Kika kopczyków z piasku jest potrzebne dla bażantów, jak niemniej nizkie daszki dla nich, jako ochrona przed drapieżnymi ptakami.

Do karmienia zajęcy ustawia się małe jarzma, w które zakłada się żywność, jak łubin, koniczynę, owies w snopie i t. p., a ziarno i buraki posypuje się po ziemi — oczywiście wtedy, kiedy ogród nie może wystarczyć na wyżywienie.

Ogród dwumorgowy jest obliczony na 2 samce i 10 samic, z czego według Hartunga ma się sto zajęcy przychować.

Ponieważ stare zające trudno jest łowić, więc w ciągu lata obsadzi się ogród młodymi zającami, z których w pierwszym roku nie będzie przychówku.

Stare, złowione zające przyzwyczajają się trudno do niewoli i w pierwszym roku mają mało młodych.

Zającom ucina się słuchy, a to prawy słuch samcom, a lewy samicom, dla poznania i uregulowania wzajemnego stosunku.

Do łowienia zajęcy zaleca Hartung plecionki, których wejścia opatrzone są klapami, podobnie urządzonemi do klap przy sieciach na kuropatwy — okazały się jednak niepraktyczne i lepiej łowią się zające w pułapki na kuny, jeżeli je ustawimy przy otworze w płocie odwrotnie.

W lecie 1872 r. było puszczonych stopniowo do ogrodzenia 52 zajęcy, które nie dały żadnego

potomstwa — trzymały się jednak wybornie do sierpnia.

W sierpniu, przy zadawaniu kapusty i buraków nastała śmiertelność. Badane zające były po największej części zmizerowane i miały czerwony płyn w jamie brzusznej, niektóre cierpiały na biegunkę, a także wątroba przedstawiała się nieco ciemniejszą i nabrzmiałą.

Z początkiem grudnia, gdy już nie było zielonej paszy — tylko owies i siano zadawano — śmiertelność ustała. Z owych 52 zajęcy pozostało jednak tylko 18 przy życiu. Kiedy nadliczbowe samce usunięto, zostało 11 samic i 2 samce, z których w lecie 1873 r. około 60 młodych wychowano, — w sierpniu jednak powtórzyła się powyższa historja, pomimo, że pożywienia było poddostatkiem; podłożonego siana zające nie jadły.

Homerer mówi dalej odnośnie do tępienia szkodników przy ogrodach zajęczych, co następuje:

Ogród dla zajęcy i bażantów w R. obejmuje mniej więcej morgę, jest ogrodzony płotem z desek i został obsadzony w r. 1872 kilkoma zającami i bażantami. W żelaza i pułapki, które obstawione były koło ogrodu, złapało się od lutego 1872 do kwietnia 1874 roku, a zatem przez 2 lata i 2 miesiące: 6 kun domowych, 3 kuny leśne, 68 tchórzy, 19 łasek, 15 kotów domowych, i 10 gołębiarzy.

Oprócz tego, ubito jeszcze 56 lisów i 11 borsuków.

Przeważna ilość borsuków złapała się do pułapek, ustawionych około ogrodu, w którym to ogrodzie znajdowała się stara jama borsucza.

Kapitał, uzyskany za 9 kun i 68 tchórzy, równał się połowie kosztów założenia ogrodu, a drugą połowę pokryły dochody z hodowli bażantów.

W ciągu dwóch lat zatem — koszta założenia ogrodu zwróciły się, a przyjemności polowania nadal były bez kosztów.



Daniele (z teki hr. A Rzewuskiego z Wierzchowni na Ukrainie).

Hartung pisze, że założył około 200 ogrodów zajęczych. W ogrodach dobrze zawiadywanych—hodowla się wszędzie udawała, śmiertelność jednak w jesieni mniej lub więcej wszędzie się pojawiała. Wobec tego zaleca Hartung uprawę piołunu. W jednym z ogrodów był właśnie piołun, a śmiertelność w nim pojawiła się dopiero w 4 tygodnie po jego spaszeniu. W innym zaś już śmiertelność zaczęła się, ustała jednak, kiedy sproszkowany piołun i owoce jałowcu zaczęto dodawać do owsa. W innych ogrodach niepowodzenie polegało na tem, że stosunek samców do samic nie był prawidłowy, a nawet zdarzało się, że służba, zajęta przy ogrodach, nie umiała rozpoznać samca od samicy.

W owych 200-tu ogrodach złowiono około 10.000 sztuk czworonożnych drapieżników w jednym roku, więc niektórzy, pomimo chybionego celu głównego — upatrywali w tym drugim pośredni środek do podniesienia swego zwierzostanu.

W gazecie wiedeńskiej „Wiener Jagdzeitung“ pisze Hartung o wynikach w ogrodach przez siebie założonych, co następuje:

Wyniki w ogrodach zajęczych, przezemnie założonych, przedstawiają się tak, że połowę uważam za udałą, ćwierć za zadawalniającą, a ćwierć za nieudałą. Ostatnie tam ma przedewszystkiem miejsce, gdzie moje przepisy nie były ściśle przestrzegane i tak np. nie trzymano się ściśle tego, aby na 5 samic był jeden samiec; lub gdzie wszystkie zające razem puszczano do ogrodzenia.

W pierwszym wypadku rozmnoża nie szła a w drugim, były zające tak podniecone, że przez bieganie nadmierne normalnie uszkadzały się.

W ogrodach jednak, gdzie wszystko szło prawidłowo, również niekiedy nie osiągnięto zamierzonego celu i tu poczyniłem nowe doświadczenia. Śmiertelność zajęcy w dobrze zresztą pielęgnowanym ogrodzie nie zależy od składu gruntu, lub kli-

matu, gdyż zdarzało się, że na jednej i tej samej własności, w jednym ogrodzie, wszystkie zające stare i młode, w liczbie mniej więcej 50, w ciągu 50 dni zginęły — podczas, gdy w drugim bardzo dobrze prosperowały. Ponieważ są rośliny, które absolutnie szkodzą zającom, więc przyszedłem do przekonania, aby tutaj szukać przyczyn śmiertelności.

Na wolności, gdzie zające mogą sobie wyszukiwać odpowiednie pożywienie, instynkt odwodzi je od przyjmowania trujących pokarmów, a zresztą ruch na wolności, pozwala niejedno strawić, czego w ograniczonej przestrzeni strawić nie mogą. W ogrodach zajęczych należy się starać o zadawanie paszy zdrowej w odpowiedniej ilości, aby zające odwieść od wyszukiwania pożywienia w trawach lub drzewach, które spożyte, mogą im szkodzić.

Jakkolwiek nie mogę dać jeszcze recepty na hodowlę zajęcy — powiem jednak, że młody owies lub żyto są dla nich doskonałą paszą, a gdy zboża te są starsze, działają szkodliwie.

Ogólną zasadą powinno być, dostarczyć zającom różnorodnej paszy, aby w ogrodzie tak żerowały, jak na wolności.

Według moich doświadczeń uważam, że wielkość ogrodu zajęczego 2-u morgowa jest dostateczna. W takim ogrodzie będzie dostateczna ilość pożywienia dla 10 samic i 2 samców i potomstwa, a dalej wyłapywanie zajęcy w celu sortowania, może sie odbywać bez szkody. Większa przestrzeń nastręcza tyle trudności, że łapanie nie obejdzie się bez szkody dla zajęcy. Zalecam tedy dla tych, którym ogród dwumorgowy nie wystarcza, aby zakładali dwa o podanej przestrzeni; podana jednak przestrzeń ogrodu wystarcza na potrzeby 1200 morgowego rewiru.

Odnośnie do ogrodzenia, doświadczyłem, że przedtem podana wysokość 6 i pół stopowa nie wystarcza, bo trafiało się, że zające ją przeskakiwały. Polecam tedy wysokość 8-mio stopową.

Zarazem jednak przekonałem się, że wystarczyło ogrodzenie drutowe, o ile było dobrze zrobione i o ile pułapki były w porządku.

Pułapki okazały się wszędzie bardzo skuteczne, na kuny jednak i na lisy nie były odpowiednie.

Moją pierwszą troską będzie te wadliwości łowienia usunąć.

Hartung mówi dalej:

Ogród zajęczy dwumorgowy wystarczy, jeżeli rewir 1200 morgowy mamy zającami zaopatrzyć, aby one nie wyrządziły szkody w uprawach. Z ogrodu wyjdzie mianowicie 500 szt. zajęcy, które wszystkie mogą być ubite, nie wyrządzając polowaniu szkody, gdyż rok rocznie 10 samic w ogrodzie da 100 młooych, z których mniej więcej połowa może być samic.

Owych 50 samic i 10 samców wypuszcza się w lutym do rewiru. Resztę samców zużytkowuje się. Na wolności można z niejaką pewnością oczekiwać od każdej samicy dziesięcioro młodych, zatem na czas polowania 500 sztuk. Przy powyższem postępowaniu szkody od zajęcy są znacznie mniejsze

Jako uboczny dochód przy ogrodach zajęczych można uważać dzikie bażantarnie, które nierzadko w główny dochód się zamieniają.

Tępienie szkodników przy ogrodach zajęczych jest tak znaczne, że już przez to samo, jako ochrona miejscowego łowiectwa sowicie się opłaca.

Do ogrodu przeznaczone zające mają mieć 3 miesiące, bo takie najlepiej się doń przyzwyczajają. Stare zające można wówczas do ogrodu puszczać, gdy zawiera remizy.

W ogrodach bez remiz — wydeptują zające dokoła ścieżki, są niespokojne i częściowo giną; w każdym zaś razie trzeba 3 miesięcy, zanim się przyzwyczają i mają młode.

Jeżeli stare zające puścimy do małego ogrodu, to nie możemy się spodziewać młodych w pierwszych 4-ch tygodniach, przeciwnie, musimy być bardzo zadowoleni, jeżeli to nastąpi w pierwszych 3-ch miesiącach.

Jeżeli jest zielona pasza, którą zające zawsze mieć muszą, wody dostarczać niema konieczności, jeżeli jednak ogród połączony jest z bażantarnią, to woda jest konieczna.

Powyżej zalecałem 2 samce na 10 samic, ponieważ jednak samce niezawsze są dobre, więc radzę lepiej puścić 3 — 4 samce; gdyby się jednak okazało, że więcej samców ugania za samicami, to zawsze można jednego odstrzelić.

Nadleśny Gödde mówi o ogrodach zajęczych, co następuje:

W zasadzie są ogrody zajęcze odpowiednie do polepszenia zniszczonego zwierzostanu, w wykonaniu jednak robi się pomyłki. Zasadniczy błąd popełnia się w tem, że ogrodom nadajemy za małą przestrzeń aby zające miały dostateczny ruch, który im jest tak do zdrowia potrzebny.

Zamknięcie zwierza tak dzikiej natury jak zając, na jednym hektarze może mieć tylko złe następstwa.

Jeżeli zające mają być chowane w ogrodzeniu, to zamknięta przestrzeń musi mieć nietylko 8 do 10 hektarów, ale na powierzchni tej uprawiana być musi koniczyna, trawy, rzepak, żyto, ziemniaki i t. p. Ogrody zajęcze zaleca się zakładać nad wodą bieżącą.

Z naszych obór.





Dójki. (Obora zarodowa w Zaborowie p. L. Goldstanda).

WYSTAWA w KIJOWIE.

Organizowana w Kijowie wystawa przemysłowo-rolnicza, ze względu na olbrzymie zainteresowanie się nią całego państwa i zagranicy, uznana została za międzynarodową, co zwiększa jej znaczenie dla wystawców. Wobec szczególnego zwrócenia uwagi na wystawę przez Szwecję, komitet delegował dyrektora Baranowskiego do Sztokholmu, celem pertraktacji z rządem Szweckim. Po za Szwecją, która bierze udział, do popisu stają: Anglja, Stany Zjednoczone, z Austrji — Galicja i Czechy, Francja panować będzie w dziale jubilerskim, w którym obok firm kijowskich, moskiewskich i petersburskich, zadeklarowano z Paryża wystawienie „Golgoty" ze złota, srebra i drogich kamieni, wartości 1,000,000 fr. W tych dniach odbyła się narada komitetu wystawy z delegatami głównego zarządu stadnin państwowych. Postanowiono nadać działowi końskiemu charakter wszechrosyjski dla ogierów czystej krwi, dla wszelkich innych gatunków oznaczono rejon, obejmujący: Litwę, Ruś, Królestwo Polskie, Inflanty, oraz gubernie: Kurską, Połtawską, Ekaterynosławską, Besarabską, Chersońską i Taurycką.

Prócz medali postanowiono rozdać około 150 premjów pieniężnych na ogólną sumę 35,000 rb. Dział koński urządzony będzie oddzielnie od wystawy ogólnej przy t. zw. Ogrodzie Cesarskim, wzdłuż brzegów Dniepru, gdzie odbywać się będą regaty, próby łodzi motorowych i t. p.

Wobec napływu zgłoszeń z Cesarstwa, komitet z trudnością zatrzymuje wolne miejsca dla Królestwa, z którego najpokaźniejszy udział weźmie Centralne Tow. Rolnicze. Przemysłowcy nasi, jakoś ociągają się z ostateczną decyzją — ledwie kilkunastu najpoważniejszych zadeklarowało swój udział Wobec zapowiedzianego wyjazdu zagranicę prezesa komitetu, Aleks. hr. Tyszkiewicza, pożądane byłoby nadsyłanie zgłoszeń przed 15-m grudnia, aby uniknąć niepotrzebnych formalności przy zatwierdzaniu projektów budowy pawilonów.

Z KRONIKI SPORTOWEJ.

ZE STADA W CHROBRZU.

W końcu jesiennego sezonu wyścigów konnych w Warszawie Aleksander margr. Wielopolski nabył od rotm. E. v. Grimma 3-letniego ogiera „Ramuńcio". Ogier posiada pożądane warunki na konia stadnego, urodził się w stadzie p. J. Reszkego.

DERBY ANGIELSKIE.

Do derby angielskiego 1913 r. zameldowano 328 yearlingów. Władysław ks. Lubomirski zgłosił 3 yearlingi: „Mocarza", „Mości Księcia" i „Morowego".

PREMJA DLA HODOWCÓW.

Podczas ubiegłego sezonu wyścigów konnych w Warszawie większe premja dla hodowców otrzymali pp.: E. i M. Łazarewowie 1,469 rb., M. Berson 558, ks. Lubomirscy 481, J. Reszke 418, F. Jurjewicz 311, S. Ułaszyn 383, br. G. i E. Martinowie 232, W. Maleszewski 180, br. Łopatinowie 179, A. Michalski 157, M. hr. Nierodowa 152, W. v. Kiparski 144, K. Grabowska 140, M. ks. Radziwiłł 122, I. Ursyn-Niemcewicz 166, B. Matuszewski 111, K. br. Kruendener 109, A. Budny 104.

Z POLOWAŃ.

W lasach dóbr Kock Józefa hr. Żółtowskiego na 3-dniowem polowaniu w 8 strzelb zabito 4 dziki, 806 zajęcy, 159 bażantów, 56 kuropatw, 4 słonki, 1 cietrzewia, 1 orła, 1 jastrzębia i 4 różne. Z powodu niepogody mioty w bażantarni zawiodły. Dziki były w 10 miotach.

W Bałtowie, majątku Aleksandra ks. Druckiego-Lubeckiego, na dwudniowem polowaniu leśnem zabito 1 jelenia-dwunastaka, 1 rogacza, 7 dzików, 12 bażantów, 2 jarząbki, 102 zające i lisa. Pierwszego dnia było 11 strzelb, drugiego — 9.

Ogólem w tym majątku zabito od 1 lipca 1911 roku do 1 lipca 1915 roku zwierzyny drapieżnej: lisów 40, kun 3, tchórzy 18, psów 282, kotów 142, łasic 140, jastrzębi 121, sów 18, wron 392, srok 75, sójek 209, wiewiórek 712, razem 2,152 sztuk.

D. 23 listopada na polowaniu w Radkowie, gub. kieleckiej, u p. Linowskiego zabito w 14 strzelb 178 zajęcy, 12 kuropatw i 1 cietrzewia. Najwięcej na rozkładzie miał p. Juljan Kozicki (31 zajęcy).

W tym samym dniu u pp. Węcławiczów na terenach w Gnojnie i Łagiewnikach gub. kieleckiej zabito 1 lisa, 41 zajęcy i 4 kuropatwy. Najwięcej na rozkładzie miał p. Jan Zaborowski (10 zajęcy i kuropatwę).

D. 25 listopada u pp. Halików w Bokrzyckiej Woli gub. kieleckiej zabito na polowaniu 25 zajęcy i 6 kuropatw. Najwięcej na rozkładzie, 7 zajęcy, miał p. E. Januszkiewicz.

D. 25 i 26 listopada r. b. odbyło się polowanie w 10 strzelb w Milanowie gub. siedleckiej, u Włodzimierza ks. Czetwertyńskiego. Zabito 324 bażanty, 176 zajęcy, 2 rogacze, 5 dzików, 6 lisów, 5 kuropatw, 2 jastrzębie i gronostaja.

D. 26 listopada odbyło się w Morawinie gub. kaliskiej, majątku p. Weigla, polowanie z naganką, na którem w 13 strzelb zabito 112 zajęcy, 15 królików, 6 kuropatw, 1 lisa i 1 bażanta.

D. 21 listopada odbyło się polowanie w dobrach Helenów pod Pruszkowem, Jakóba hr. Potockiego. W 14 strzelb zabito w 9 miotach: zajęcy 271, kuropatw 33, bażantów-kogutów 16.

W Mostowie, u p. Tadeusza Mostowskiego, na trzydniowem polowaniu w 5, 6 i 7 strzelb padło razem 483 sztuk.

W Zielonej, na gruntach dzierżawionych przez p. Jana Podkólińskiego, na polowaniu w 6 strzelb zabito 119 kuropatw.

W lasach dóbr Międzyrzec, spadkobierców A. hr. Potockich, od 1 lipca r. z. do 30 czerwca r. b. padło: dzików-odyńców 2, samur 2, wycinków 5, rogaczy 28, zajęcy 251, bażantów 3, przepiórek 5, kuropatw 147, bekasów 11, kulików 1, gęsi 1, kaczek 15, razem 474 sztuk zwierzyny użytkowej. Drapieżników zaś: lisów starych 29, lisów młodych 6, wydr 1, tchórzy 5, łasic 21, psów 106, kotów 56, jastrzębi 114, czapla 1, srok 6, wron 21, razem 366 sztuk zwierzyny drapieżnej, ogółem 840 sztuk.

W d. 18 i 19 listopada odbyło się w Luszynie w pow. gostyńskim u p. Stanisława Godlewskiego polowanie w 15 strzelb, na którem padło 1,132 zające, 1 kozioł, 50 bażantów, 61 kuropatw, 7 królików, 2 jastrzębie i 2 sroki, ogółem sztuk 1,245. Polowano w 9 zakładach leśnych i 3 kotłach. Rewirów bażancich nie zajmowano.

D. 28 listopada na polowaniu w majątku Dalechowice gub. Kieleckiej, u p. Marjana Wojewódzkiego, zabito 93 zające, 2 bażanty, 9 kuropatw, 1 lisa i 1 jastrzębia.

Comment recouvrir les forces corporelles et intellectuelles?

Pytanie to nasuwa się każdemu osobnikowi, którego odporność ucierpiała wskutek jakiejkolwiekbądź przyczyny. O ile w obecnych warunkach gorączkowego życia przyczyny te są liczne, o tyle mogą one być i różnorodne, zależnie zupełnie od warunków życiowych poszczególnych jednostek.

Widzimy np. jak ktoś dzień w dzień natęża swą energię i od wczesnego ranka do późnego wieczora nieustannie pracuje, nie użyczając sobie chwili odpoczynku. Przez pewien czas system nerwowy sprostać może wymaganiom. Lecz zarówno jak gleba niezawsze dobry urodzaj dać może, o ile przez jakiś czas nie leży ugorem, lub gdy nie jest odświeżana, tak samo nadmiernie pracujący człowiek czuje, gdy przykre objawy neurastenii jako to: upadek energii, osłabienie pamięci, bezsenność, łatwa wrażliwość i t. p. stają się widocznemi, że „nieracyonalną gospodarkę“ prowadził i że w stosunku do sił swych uprawiał „system rabunkowy“.



Jeżeli następnie przyjrzymy się wielu paniom bladym i zmęczonym i zapytamy je o stan zdrowia ich, to dowiemy się, że migreny, zmęczenie, bóle głowy i tym podobne przykre objawy są ich stałymi towarzyszami. Te dokuczliwe stany depresyi pozbawiają nas możności radowania się i wyzyskania przyjemności życiowych, nadają one twarzy ludzkiej wyraz zmęczenia, ryjąc na niej starcze ślady.

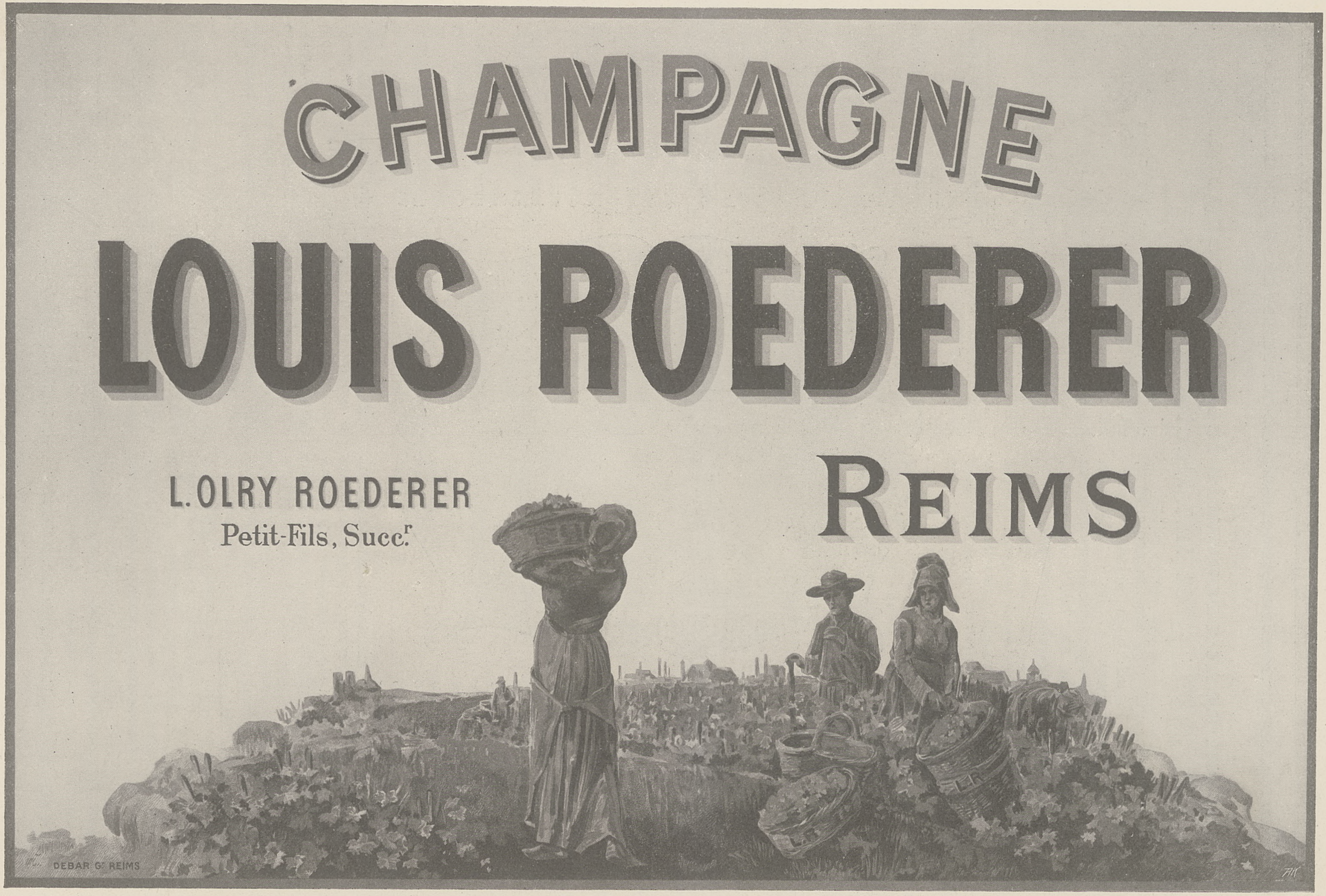
I w tych wypadkach ma się do czynienia albo z neurastenicznemi objawami, występującymi wskutek zbyt uciążliwego życia towarzyskiego, kłopotów lub podniecenia duchowego, albo też ma się do czynienia ze stanami osłabienia, które pozostały po przebytej chorobie ciężkiej lub powstały wskutek znacznej utraty krwi.

Z wyżej wyłuszczonych danych wysnuwa się sama przez się odpowiedź na pytanie w nagłówku tego artykułu zawarte. Jeżeli bowiem uświadomimy sobie, że przyczyna rozstroju zdrowia i nerwowośc i tkwi w stanach osłabienia nerwów i organizmu, lub też, że wskutek braku krwi cierpimy na blednicę i małokrwistość, WTEDY STAJE SIĘ JASNEM, W JAKI SPOSÓB TE PRZYKRE ZABURZENIA MOGĄ ZOSTAĆ USUNIĘTE, a mianowicie: przez systematyczne wzmacnianie organizmu.

„Łatwo powiedzieć, lecz trudno wykonać“, myśli sobie czytelnik, albowiem ilość zalecanych dla tego celu środków jest bardzo znaczna. W rzeczywistości wybór nie jest tak łatwy, szczególniej dla tych, którzy z medycyną nie są obeznani. Dla takiego osobnika probierzem jest, że preparat, którego użyć pragnie, jest dostatecznie wypróbowany i przez lekarzy za skuteczny uznany.

To właśnie w najszerszym znaczeniu tego słowa powiedzieć można o Sanatogenie Bauera, który od 15 blizko lat do lecznictwa wprowadzony został. Używany on jest obecnie przez lekarzy wszystkich krajów kulturalnych i przeszło 16000 stwierdziło piśmiennie doskonałe wyniki osiągnięte ze stosowania tego preparatu.

Ta kolosalna liczba odezw lekarskich, jak również i ta okoliczność, iż wpłynęły one powoli w przeciągu długiego okresu czasu, a tem samem nie są wyrazem chwilowego nastroju lub tendencyi, służyć mogą za dowód, iż Sanatogen Bauera zasługuje na zaufanie. Każdy przeto, kto pragnie nerwy swe lub organizm wzmocnić, względnie podnieść lub polepszyć stan swego zdrowia, winien przyjmować Sanatogen Bauera. Jest on powszechnie znany i niewątpliwie niejeden w kole znajomych WP. słyszał o nim lub nawet i używał go. Zresztą Jeneralne Przedstawicielstwo Sanatogenu Bauera, Warszawa, Marszałkowska 129, wysyła bezpłatnie szczegółowe broszury, do niczego czytelników nie obowiązując.


CHAMPAGNE
LOUIS ROEDERER
REIMS
L. OLRY ROEDERER
Petit-Fils, Succr.
DEBAR Gr REIMS

Przed otwarciem Teatru Polskiego.

(Wywiad).

Gdy dzienniki doniosły, że około Nowego Roku rozpoczyna w Warszawie działalność nowy teatr, postanowiliśmy dać czytelnikom naszym wyczerpującą o tej nowej placówce kulturalnej wiadomość w tym celu udaliśmy się do dyrektora teatru, A. Szyfmana, który, dowiedziawszy się z wymiany pierwszych zdań o celu naszego przybycia, zaproponował nam zwiedzenie samej budowy.

Z Krakowskiego Przedm., tuż przy pomniku Kopernika, dorożka skręciła w ulicę Oboźną, rozszerzoną obecnie w dwójnasób, i przejechawszy nią nie więcej, niż 100 kroków—stanęła przed wspaniałym gmachem, samotnie stojącym przy nowowytkniętej ulicy Karasia, równoległej do Krakowskiego Przedmieścia.

— Dlaczego panowie wybrali to miejsce, a nie plac po Karasiu, frontem do Krakowskiego?— zapytałem.

— Wolelibyśmy pójść za gustem pana,—odparł dyrektor, — brakowało nam jednak różnicy w cenieplaców tam i tu, która wynosi około ćwierci miljona!.. A nasz teatr zbudowany jest z funduszów publicznych, należało więc gospodarować oględnie, nie rozrzutnie.

— Jakto, publicznych? — spytałem zdziwiony.

— Śmiało tak powiedzieć można, bo teatr wybudowało Tow. Akcyjne, którego organizację zawdzięczamy głównie panu Tołłoczce, złożone ze 160 członków — arystokracji i plutokracji, ziemian i kupców, inteligencji zawodowej i mieszczaństwa, przemysłowców i rentierów, z których wyliczę panu kilkanaście nazwisk na chybił trafił: Maurycy hr. Zamoyski, Michał ks. Woroniecki, dr. Watraszewski, Juljan Tołłoczko, Maurycy Spokorny, ks. Lubomirscy, baron Kronenberg, hr. Andrzejowa Potocka wdowa po Namiestniku, Michał Róg, Bormanowie, bar. Dangel, Maciej ks. Radziwiłł, Gerlach, Karpiński, Kiślański, Wł. hr. Potocki, Juljan Makowski, Szczeniowski, H. Lewentalowa, Zdzisław Tarnowski z Dzikowa, hr. Edward Krasiński, prof. dr. Juljan Kosiński, konsul Ryszard Kimens, p. Tadeusz Jankiewicz, p. Juljusz Herman, Stefan Dziewulski, p. Bolesław Chojnacki, no i, jak panu powiadam, 150 innych. Ustawa Tow. Akc. już uzyskała Najwyższe zatwierdzenie i w grudniu nastąpi ukonstytuowanie się ostateczne T-wa, którego cały kapitał już jest zebrany.



Marja Przybyłko-Potocka.

— Któż jest inicjatorem tego pięknego dzieła?

— Pierwotnym inicjatorem teatru byłem ja, zostałbym może jednak na zawsze tylko przy inicjatywie, gdyby nie żywe zajęcie się tą sprawą zgasłego niedawno Tomasza hr. Potockiego, który położył dla teatru ogromne zasługi, zyskując udziały, pomagając swą inteligentną radą na każdym kroku...

— Długo panowie budowali ten olbrzymi gmach?

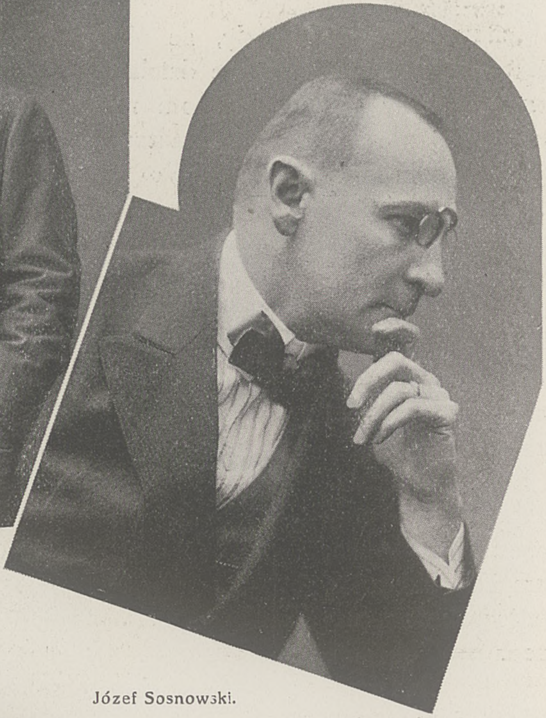
— W kwietniu r. b. założyliśmy kamień węgelny.



Michał Szobert.



Józef Węgrzyn.



Józef Sosnowski.



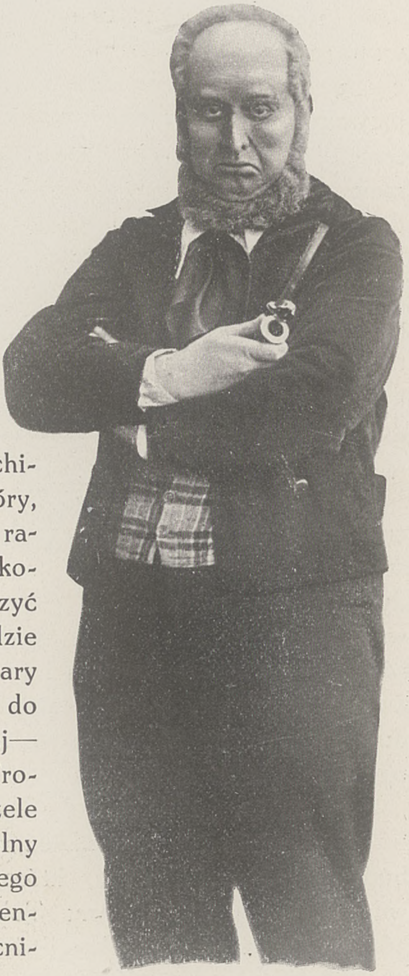
Jerzy Leszczyński.



Stanisława Wysocka.

— Według planów?...

— Jednego z najzdolniejszych młodych architektów naszych, p. Czesława Przybylskiego, który, nim usiadł do planowania teatru tego, zwiedził razem ze mną wszystkie najwytworniejsze, najdoskonalsze technicznie teatry Europy. Wogóle zaznaczyć muszę, że powiew młodości charakteryzować będzie nasz teatr. Jak pan widzi, sam nie jestem stary (p. Szyfman ma lat 30), architekt nasz należy do najmłodszego pokolenia artystów tej dziedziny; dalej— do dekoracji gmachu powołano art. mal. Ed. Trojanowskiego i rzeźbiarza Z. Otto; na czele działu dekoracyjnego sceny stoi wielce zdolny i młody artysta Karol Frycz, wykonawcą jego pomysłów jest również młody malarz Wincenty Drabik, bezpośrednim zaś moim pomocni-



Aleksander Zelwerowicz.



Zofja Kopczewska.



Janina Zarzycka.



Iza Kozłowska.

kiem w dziale literackim i artystycznym jest Gustaw Olechowski, znany panu dobrze literat.

— A personel trupy? — spytałem.

Tu dyrektor Szyfman zpauzował, jakby chciał mnie przygotować do silnego wrażenia.

— Także wyliczę panu tylko kilka nazwisk, które dość mówią same za siebie: mamy na stałe Przybyłko-Potocką, największą dziś w Polsce artystkę ról uczuciowych; mamy Stanisławę Wysocką, tragiczkę niepoślednej miary, a dalej Duninównę, Dulębiankę, Czarnecką, Krysińską. Mamy Zelwerowicza, Sosnowskiego, Węgrzynów — Maksymiljana i Józefa, Waycherta, Szoberta, Junoszę...

— Istotnie, — przerwałem. — Skupił pan co najprzedniejsze siły.

Dyrektor uśmiechnął się z zadowoleniem.

— A teraz — zapraszał mnie — zwiedzimy gmach sam. Oto westibul, sień, wejście, jak pan sobie życzy. Na prawo i lewo widzi pan schody, które prowadzą na pierwsze piętro do lóż i balkonów.

Na drugie piętro prowadzą schody specjalne.

Na piętrze nad nami znajduje się ogromne foyer, a pod nami — palarnia; i jedno i drugie z bufetami.

Drugie piętro ma również własne foyer.

Korytarze, jak pan widzi, zbytkownie szerokie.

Wchodzimy na parter silnie amfiteatralny, tak, że z ostatniego nawet miejsca, scenę się ma jak na dłoni. Stąd pan może zaobserwować, że na pierwszem i na drugiem piętrze, miejsc zupełnie bocznych, z których zwykle pół miejsca się tylko widzi, u nas niema wcale. W tym też celu, miejsca na balkonach idą tak amfiteatralnie, jak w rzymskich cyrkach.

Gdy wyjdziemy znów na korytarz, zobaczy pan schody z prawej strony, wio-



Helena Czarnecka-Mielnicka



Nuna Wiśniarowska.

dące na górne piętra do malarni, stolarni i innych warsztatów, na lewo zaś do garderób, kancelarji teatralnych, pracowni krawieckich i t. p.

A teraz pójdziemy zobaczyć „gwóźdź“ teatru — scenę obrotową, pierwszą w Polsce, która pozwoli nam wystawiać najdłuższe nawet sztuki w ciągu 3 godzin, pozwoli przesuwać obrazy bez antraktu. Scena nasza posiada takie udoskonalenia techniczne, efekty świetlne, taką przestrzeń perspektywistyczną, jakie posiada tylko kilka teatrów europejskich. Urządzenia ratunkowe na wypadek pożaru są takie, że katastrofa jest wyłączona, ilość drzwi taka, że komplet teatru wyjść może krokiem spacerowym w ciągu jednej minuty...



Maksymiljan Węgrzyn.



Faustyna Krysińska.

Słuchałem w milczeniu, ciesząc się, że Warszawa wreszcie posiądzie nowoczesny teatr polski, tak zamierzony.

Wywiad nasz zakończyliśmy zapytaniem o repertuar. Odpowiedź była krótka:

— Dramat, komedja. Oprzemy się głównie na twórczości polskiej, oryginalnej. Szczegóły tymczasem trzymamy w tajemnicy. Zaczynamy „Irydjonem''.

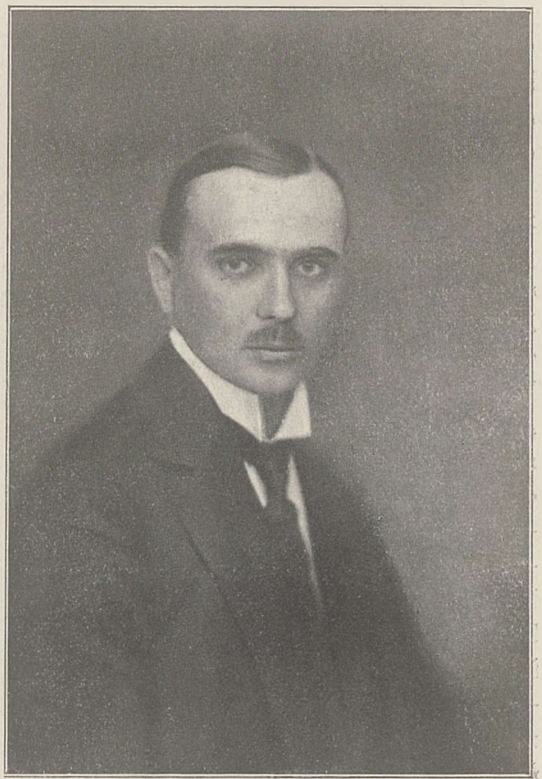
Az.



Wanda Tatarkiewiczówna.



Laura Duninówna.



Władysław Lenczewski.

Redaktor: *Kazimierz Laskowski* Wydawca: *Bolesław Schoen*

Wszelką korespondencję zarówno zwykłą, jak rekomendowaną lub pieniężną prosimy adresować:
Administracja „Wieś i Dwór”, ul. Marszałkowska 129, w Warszawie.
Dla uniknięcia omyłek prosimy o dokładny adres.

SKOROWIDZ ADRESOWY ADWOKATÓW POLAKÓW

w obrębie W. Ks. Poznańskiego, Prus Królewskich, Szlązku, oraz rzeszy niemieckiej.

I. WIELKIE KSIĘSTWO POZNAŃSKIE.

POZNAŃ.

a) adwokaci przy sądzie *nadziemiańskim:*

Dr. Dziembowski, Głębocki, Dr. Paczkowski, Władysław Seyda (poseł do parlamentu), Dr. Stanisław Sławski.

b) adwokaci przy sądzie *ziemiańskim:*

Dr. Adamczewski, Bielawski, Dr. Celichowski, Dr. Chłapowski, Chrzanowski, Cichowicz, Drwęski, Dr. Englich, Gąsiorowski, Dr. Głowacki, Dr. Kolszewski, Koperski, Kotliński, Leitgeber, Dr. Mieczkowski, Müller, Nowacki, Ratajski, Rychłowski, Dr. Jan Sławski, Trąmpczyński (poseł do parlamentu i sejmu), Żuromski.

Pobiedziska: Szafrański.
Szamotuły: Wyrzykowski.
Śrem: Morawski.
Środa: Dr. Hempowicz.

BYDGOSZCZ.

Dr. Nowicki, Wierzbicki, Zalewski.

INOWROCŁAW.

Prądzyński, Radwański, Dr. Swinarski.
Żnin: Grybski, Robowski.

GNIEZNO.

Karpiński, Dr. Jurek, Dr. Tomaszkiewicz, Szczaniecki.
Witkowo: Biernacki.
Wągrówiec: Dr. Piechocki.
Września: Thiel.

LESZNO.

Maciaszek, Ruszczyński.
Kościan: Meissner.
Rawicz: Stark.
Grodzisk: Dębiński, Motty.
Nowy Tomyśl: Bartecki.
Wolsztyn: Schultz.

OSTROWO.

Begale, Lange, Dr. Stelmachowski.
Odolanów: Chełmicki.
Jarocin: Zielewski.
Kępno: Doerffer.
Koźmin: Czypicki.
Krotoszyn: Langiewicz.
Pleszew: Lehmann.
Ostrzeszów: Radziszewski.

PIŁA.

Popławski.

II. PRUSY KRÓLEWSKIE.

Kwidzyna (Marienwerder)
Przy sądzie *nadziemiańskim:* Grabarz.

GDAŃSK.

Bielewicz, Brejski, Dr. Marchlewski.
Kościerzyna (Berent w/Pr.): Bronk.
Kartuzy: Sobiecki.
Wejherowo (Neustadt w/Pr.): Neumann.
Starogard (Pr. Stargard w/Pr.): Jackowski, Paszkiet.

TORUN.

Mielcarzewicz, Szuman.
Chełmno (Culm w/Pr.): Dr. Ossowski.
Lubawa (Löbau w/Pr.): Kurzętkowski.
Nowemiasto n. D. (Neumark w/Pr.): Michałek.
Brodnica (Strasburg w/Pr.): Koczwara.

GRUDZIĄDZ.

Dr. Łaszewski (poseł do parlam.): Szychowski, Wysocki.
Świecie: Gärtig, Wawrowski.

CHOJNICE.

Kopicki.
Złotów (Flatow w/Pr.): Pyttlik.
Sztum: (Stuhm w/Pr.): Langowski.

III. SZLĄZK.

WROCŁAW.

Przy sądzie *nadziemiańskim:* Dr. Nochowicz.
Przy sądzie *ziemiańskim:* Kazimierz Boening.

BYTOM.

Czapla, Kudera, Wnukowski.

KATOWICE.

Dr. Zygmunt Seyda, (poseł do sejmu).

Królewska Huta (Königshütte Oberschl.): Dr. Krzyżankiewicz.

Mysłowice (Myslowitz): Mierzejewski.

GLIWICE.

Wolny, Zakrzewski.
Pszczyn: Radwański.
Zabrze: Kobyliński.
Lauban: Galon.
Opole: Dr. Lerch, Madaliński.
Racibórz: Dr. Prądzyński.
Rybnik: Dr. Różański.

IV. BERLIN.

Dr. Edmund Łukanowski, Berlin W 8, Kronenstrasse 68,
Baron Kazimierz Unruh, Berlin W 8, Kronenstr. 68,
Dr. Sikorski, Berlin-Schöneberg, Vorbergstrasse 6,
Dr. Stefan Zborowski, Berlin W 8, Markgrafenstr. 59
Wal. Sobiecki SW 68, Kochstr. 44/45.

BOCHUM (Westfalja).

Banaszak.

Na nadchodzące święta poleca Sz. Publiczności

PIWA Leżak, Pilzeńskie, Kulmbachskie i Lagrowe **PAROWY BROWAR** **K. MACHLEJDA** Chłodna Nr. 45, Telefony Nr. 915 i 5775.

Dla zadośćuczynienia żądaniom, uprasza się o wczesne nadsyłanie zamówień.

FIRMA

„FLUID"

Chmielna Nr. 9

posiada na składzie przybory do fotografji amatorskich, duży wybór obrazów w ramach i passepartout w różnych wielkościach oraz artystyczną galanterję sztuki fotograf., odpowiednie na podarki świąteczne. Sklep przyjmuje wszelkie zlecenia w zakres fotografji wchodzące, wykonywa portrety z fotografji w różnych odcieniach i wielkościach i posiada bezpłatne laboratorjum dla panów amatorów.

Polecamy tę młodą placówkę handlu polskiego

Bronisław Mieszkowski, Jadwiga Strojnowska (właściciele).

MAGASIN FRANÇAIS NOWY-ŚWIAT 45

G. BARGOIN

NOWY-ŚWIAT 45

Poleca duży wybór Paryskiej Biżuterji.

FABRYKA TRYKOTAŻY i POŃCZOCH

„Zygmunt Chyliński"

WŁAŚCICIELE:

R. Ginter i H. Rybarska

Warszawa, Aleja Jerozolimska 41. Tel. 24-91.

Rok założenia 1889.

POLECA: KOSTJUMY wioślarskie, cyklistowskie i gimnastyczne. KAFTANY i KAPTURKI myśliwskie. CHOLEWKI i POŃCZOCHY sportowe letnie i zimowe. KALESONY i KOSZULKI jaegierowskie, męskie, damskie i dziecinne. RĘKAWICZKI, POŃCZOCHY, SKARPETKI, letnie i zimowe. KAFTANICZKI i MAJTECZKI dziecinne. HALKI damskie i dziecinne. TRYKOCIKI dziecinne letnie i zimowe. ŻAKIETY damskie i dziecinne. PASY BRZUSZNE i BANDAŻE i t. p.

Józef Serafin



OBUWIE WYKWINTNE I SPORTOWE

Warszawa, Włodzimierska 7/9

HERBARZE: Rosyjskie, Polskie, Angielskie, Francuskie i Niemieckie.

Zakład egzystuje od roku 1890.

Zakład Artystyczno-Grawerski

STANISŁAWA LIPCZYŃSKIEGO

DOSTAWCY TOWARZYSTW SPORTOWYCH

w Warszawie, Marszałkowska № 149 (róg Próżnej). Telefon № 134-84.

Stała wystawa prób i wzorów.

UWAGA: Dla Czł. Tow. Sport. Zw. Rz. Ch. i uczących się ceny o 10% niższe.

JAKÓB BORAWSKI

ARTYSTYCZNY ZAKŁAD Nagrodzony Wielkiemi Medalami

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 59, m. 48.

OCENA, ODNAWIANIE obrazów, rzeźb i wogóle dzieł sztuki.

Największe składy w Warszawie.

F. IZDEBSKI

Istnieje od r. 1858

NOWY-ŚWIAT 37 **BRACKA 20**

PORCELANA, KRYSZTAŁY, MAJOLIKA, FAJANS ANGIELSKI

WŁASNA MALARNIA

Poleca na GWIAZDKĘ w wielkim wyborze

Kryształy artystyczne Baccarat, Porcelanę saską Królewskiej Fabryki Meissen, Holenderską „Rozenburg", „Royal Copenhagen" Szkła fantaz. „Gallé" i „Daum".

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Wielkopolance. W numerze „Gwiazdkowym" znajdzie już Pani spis wszystkich adwokatów polaków, zaś w N-rze Noworocznym podamy skorowidz firm polskich z Poznania i innych miast pod berłem pruskiem.

T. K. Ł. Serdecznie dziękujemy. „Sen o gwiazdce" z powodu opóźnienia — ukaże się w Noworocznym zeszycie.

P. Wilgockiej w Kijowie. Prace p. Antoniego Marylskiego znajdzie Pani w każdej księgarni, a więc i w księgarni L. Idzikowskiego. Za fotografje serdecznie dziękujemy.

Hr. S. T. Rubli sześćdziesiąt na 5 prenumerat otrzymaliśmy. Już wysłano.

P. W. O. w Pińszczyźnie. O fotografję łosi b. prosimy. Do Sandomierskiego powrócimy jeszcze po Nowym Roku.

Hr. Z. P. Nie jesteśmy upoważnieni do ujawnienia. Zapowiedź „Albumu łowieckiego" zamieszczamy właśnie w numerze „Gwiazdkowym". Dla prenumeratorów obliczamy po cenie kosztu.

P. Zośce. Serdecznie dziękujemy i czekamy na dalsze ciągi.

P. W. Ł. w Łańcucie. O fotografje z polowań łańcuckich b. prosimy. Numer okazowy wysłany.

P. J....skiej. „Kobieta i Sport" rozpoczynamy w zeszycie styczniowym. Wyczerpane. Możemy polecić firmę „I. Korsak" (ul. Marszałkowska).

P. Marji Wokulskiej. Ma Pani rację. Firma „Rocderes" przed paru laty nadesłała 1000 rb. na pomnik Szopena.

P. F. Rz. w Topoli. Za treść i brzęk, serdeczny dzięk, lżej dolę nieść, gdy rubli sześć.

Do Gwiazdkowego zeszytu „Wsi i Dworu" dołącza się prospekty: „Dnia" i „Biblioteki dzieł wyborowych".

TREŚĆ ZESZYTU V-go i VI-go:

OKOŁO 150 ILUSTRACJI.

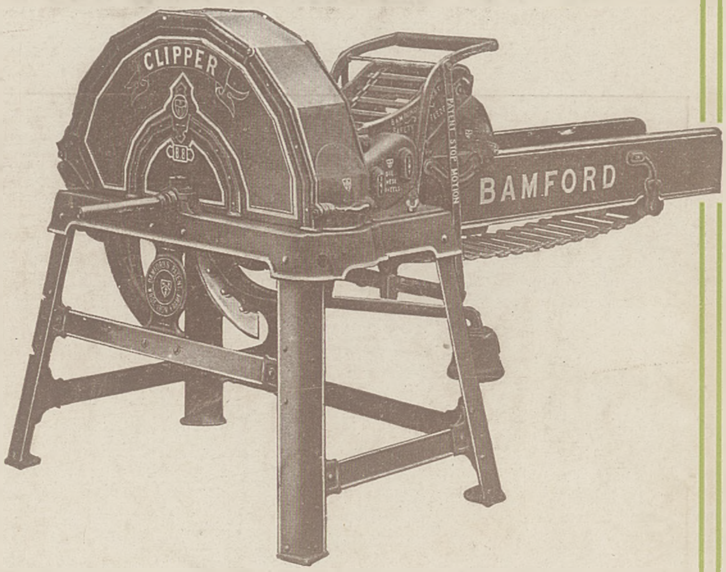
Redaktor: **Kazimierz Laskowski** Wydawca: **Bolesław Schoen**

Klisze i druk Zakł. Graf. A. HURKIEWICZ i S-ka, Warszawa, Marjensztadt 16.


SOCIÉTÉ
FR. PULS
Przezroczyste glicerynowe mydło kwiatowe
Tow. Akc. Fryderyk Puls
W WARSZAWIE
AK.


BROWAR
E. REYCH
WARSZAWA
PAROWY
SYNOWIE
GRZYBOWSKA 33.
109 i 7510.

Angielskie Sieczkarnie Bamforda



Sieczkarnie, używane w Anglji, muszą być podług prawa zaopatrzone w samopodawacz, ochronę na koło nożowe i automatyczny bezpiecznik. U nas te rzeczy, dotąd mało znane, bardzo prędko wejdą w ogólne użycie.

Samopodawacz, widoczny na rysunku, składa się z 2 giętkich drabinek, bez końca, zbudowanych z drzewa i żelaza, górnej i dolnej. Obie drabinki poruszane są przez mechanizm sieczkarni w ten sposób, że słomę wrzuconą na ladę, stopniowo ściskają i wciągają automatycznie w gardło maszyny. Zależnie od ilości podanej słomy, waga podnosi się mniej lub więcej. Gdy podać za dużo, wtedy waga podniesie się wyżej, niż normalnie i, zapomocą drążka, widocznego na rysunku, automatycznie podnosi dźwignię bezpieczeństwa i kierunek biegu maszyny odwraca. Nadmiar słomy zostaje przez sieczkarnię automatycznie wyrzucony.

Urządzenie to oddaje usługi wprost znakomite, gdyż

1) powiększa znacznie wydajność maszyny,
2) zabezpiecza robotników od kalectwa. Słomę wystarcza rzucić na ruchomą drabinkę bez potrzeby popychania, jak u zwykłej sieczkarni, lub też u sieczkarni z t. zw. elewatorem,
3) zabezpiecza sieczkarnię od uszkodzeń wskutek niedbałego lub nieumiejętnego podawania.

CENNIKI I OPISY BEZPŁATNIE.

IGNACY TUKALŁO
POCZ. TEL. ILIJA GUB. WILEŃ.
ST. KOLEJ. MOŁODECZNO.

Do Towarzystwa Akcyjnego
Tadeusz Kowalski i A. Trylski

w Warszawie

Jestem zupełnie zadowolony z nabytej u WPanów dużej trzykosowej sieczkarni Bamforda. Jest solidnie i dokładnie wykończona, sądzę też że będzie trwałą Przy sześciu koniach w kieracie, daje moc niezmierną sieczki. Miałem i mam dużo sieczkarń rozmaitych, lecz ta sieczkarnia Bamforda wydaje się mnie nie tylko równą, lecz nawet lepszą od innych. Chcę jeszcze zaznaczyć, że przyrząd bezpieczeństwa jest bardzo dowcipny i ocalił u mnie człowieka od kalectwa Maszyna pochwyciła rękę podawacza, ten zaś chcąc nie chcąc musiał się oprzeć o przyrząd, maszyna natychmiast poszła wstecz i podawacz wyciągnął rękę nieuszkodzoną.

Z poważaniem

20-11-1912

Ignacy Tukałło

Towarzystwo Akcyjne

Tadeusz Kowalski i A. Trylski

Warszawa — Wilno.

Papier O. Miedtke, Rpr. tel. 16-34.
Zakłady Graficzne A. Hurkiewicz i S-ka Warszawa, Marjensztadt 16.